

**ELIZA  
ORZESZKOWA**

NAD NIEMNEM,  
TOM  
PIERWSZY

**Eliza Orzeszkowa**  
**Nad Niemnem, tom pierwszy**

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55842858](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55842858)*

*Nad Niemnem, tom pierwszy:*

**Аннотация**

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

# Содержание

Том I	4
I	4
II	26
III	65
Конец ознакомительного фрагмента.	68

# Eliza Orzeszkowa

## Nad Niemnem, tom pierwszy

### Tom I

#### I

Dzień był letni i świąteczny. Wszystko na świecie jaśniało, kwitło, pachniało, śpiewało. Ciepło i radość łąły się z błękitnego nieba i złotego słońca; radość i upojenie tryskały znad pól porośłych zielonym zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów nad równiną w gorącym powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami, w okrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew.

Z jednej strony widnokregu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami<sup>1</sup> i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna piaszczystą ścianą wyrastający z zieloności ziemi, a koroną ciemnego boru oderżnięty od błękitnego nieba ogromnym półkołem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzieniegdzie tylko wyrastały dzikie, pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, słupiate topole. Dnia tego

---

<sup>1</sup> *borek* – mały bór, laszek. [przypis edytorski]

w słońcu ta piaszczysta ściana miała pozór półobróczy złotej, przepasanej jak purpurową wstęgą tkwiącą w niej warstwą czerwonego marglu<sup>2</sup>. Na świetnym tym tle w zmieszanych z dala zarysach rozpoznać można było dwór obszerny i w niewielkiej od niego odległości na jednej z nim linii rozciągnięty szereg kilkudziesięciu dworków małych. Był to wraz z brzegiem rzeki zginający się nieco w półkole sznur siedlisk ludzkich, większych i mniejszych, wychylających ciemne swe profile z większych i mniejszych ogrodów. Nad niektórymi dachami, w powietrzu czystym i spokojnym wzbijały się proste i trochę tylko skłębione nici dymów; niektóre okna świeciły od słońca jak wielkie iskry; kilka strzech nowych mieszało złocistość słomy z błękitem nieba i zielonością drzew.

Równinę przerynały drogi białe i trochę zieleniejące od rzadka porastającej je trawy; ku nim, niby strumienie ku rzekom, przybiegały z pól miedze, całe błękitne od bławatków, żółte od kamioły, różowe od dzięcieliny<sup>3</sup> i smółek<sup>4</sup>. Z obu stron każdej drogi szerokim pasem białały bujne rumianki i wyższe od nich kwiaty marchewnika, słały się w trawach fioletowe rohule<sup>5</sup>, żółtymi gwiazdkami świeciły brodawniki<sup>6</sup> i kurze ślepoty,

---

<sup>2</sup> *margiel* – odmiana skały osadowej złożonej z węglanów wapnia lub magnezu. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *dzięcielina* (gw.) – koniczyna. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *smółka* – kwitnąca na czerwono bylina z rodziny goździkowatych. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *rohula* – ostróżka. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *brodawnik* – mniszek lekarski. [przypis edytorski]

liliowe skabiozy polne wylewały ze swych stulistnych koron miodowe wonie, chwiały się całe lasy słabej i delikatnej mietlicy<sup>7</sup>, kosmate kwiaty babki stały na swych wysokich łodygach, rumianością i zawadiacką postawą stwierdzając nadaną im nazwę kozaków. Za tymi pasami roślinności dzikiej cicho w cichej pogodzie stało morze roślin uprawnych. Żyto i pszenica miały kłosa jeszcze zielone, lecz już osypane drżącymi różkami, których obfitość wróżyła urodzaj; niższe znacznie od nich, rumianym kwiatem gęsto usiane stały się na szerokich przestrzeniach liściaste puchy koniczyny; puchem też, zda się, ale drobniejszym, delikatniejszym, z zielonością tak łagodną, że oko pieściła, młody len pokrywał gdzieś kilka zagonów, a żółta jaskrawość kwitnącego rzepaku wesołymi rzekami przepływała po łąkach niskich jeszcze owsów i jęczmion.

Wśród tej wesołej przyrody ludzie dziś także byli weseli; mnóstwo ich ciągnęło po drogach i miedzach. Gromadami na drogach, a sznurami na miedzach szły wiejskie kobiety, których głowy ubrane w czerwone i żółte chusty tworzyły nad zbożami korowody żywych piwonii i słoneczników. Od tych gromad lały się i płynęły po łąkach strumienie różnych głosów. Były to czasem rozmowy gwarne i krzykliwe, czasem śmiechy basowe lub srebrzyste, czasem płacze niemowląt u piersi w chustach niesionych, czasem też pieśni przeciągłe, głośne, których nutę porywały i przedłużały echa ze stron obu: w borkach i gajach rosnących na wzgórzach i w wielkim

---

<sup>7</sup> *mietlica* – gatunek trawy. [przypis edytorski]

borze, który ciemnym pasem odcinał pozłocaną, przetkaną szkarłatem ścianę nadniemeńską od wysadzanych srebrnymi obłokami błękitów nieba. W tym ruchu ludzkim odbywającym się na urodzajnej równinie czuć było najpiękniejszy dla wiejskiej ludności moment święta: wesoły i wolny w słoneczny i wolny dzień boży powrót z kościoła.

W porze, kiedy ten ruch znacznie już stawał się mniejszy, na równinie, z dala od tu i ówdzie jeszcze ciągnących gromad, ukazały się dwie kobiety. Szły one z tej samej strony, z której wracali inni, ale zboczyły znać z prostej drogi i chwilę jakąś przebyły w jednym z rosnących na wzgórzach borków. Było to przyczyną ich spóźnienia się, tym więcej, że jedna z nich niosła ogromną więź leśnych roślin, które tylko co i dość długo zapewne zrywała. Druga kobieta zamiast kwiatów trzymała w ręku niepospolitej wielkości chustkę, która za każdym jej szerokim i zamaszystym krokiem kołysząc się wraz z długim ramieniem powiewała jak sporej wielkości chorągiew. Z dala to tylko widać było, że jedna z tych kobiet miała w ręku pęk roślin, a druga szmatę białego płótna; z bliska uderzały one niezupełnie zwykłą powierzchownością.

Kobieta z chustką była niezwykle wysoka, a wysokość tę zwiększała jeszcze chudość jej ciała, które przecież posiadało szkielet tak rozrosły i silny, że pomimo chudości ramiona jej były szerokie i wydawałyby się bardzo silne, gdyby nie małe przygarbienie pleców i karku objawiające trochę znużenia i starości, gdyby także nie ostre kości łopatek podnoszące w

dwu miejscach staroświecką mantylę<sup>8</sup> z długimi, co chwilę powiewającymi końcami. Oprócz tej mantyli zaopatrzonej w płócienny kołnierz miała ona na sobie czarną spódnicę, tak krótką, że spod niej aż prawie do kostek widać było dwie duże i płaskie stopy ubrane w grube pończochy i wielkie, kwieciste pantofle. Ubiór ten uzupełniony był przez stary kapelusz słomiany, którego szerokie brzegi ocieniały twarz, na pierwszy rzut oka starą, brzydką i przykrą, ale po bliższym przyjrzeniu się uwagę i ciekawość budzić mogącą. Była to mała, chuda, okrągła twarz ze skórą tak ciemną, że prawie brązową, z czołem sfałdowanym w kilka grubych zmarszczek, z wpadłymi i kościstymi policzkami, z wyrazem goryczy i złościwości nadawanym jej przez ostrość nosa i zaciśnięcie warg, a wzmaganym przez szczególną ognistość i przenikliwość oczu. Te oczy zdawały się być jedynym bogactwem tej biednej, zestarzałej, złościwej twarzy. Może kiedyś były one jedyną jej pięknością, a teraz, wielkie i czarne, spod czarnych, szerokich brwi oświecały ją jeszcze przejmującym blaskiem; miały one spojrzenie przenikliwe, ostre, urągliwe i płomiennosc nieustanną, jakby wciąż z wnętrza podsycałą, a dziwną przy tej szerniałej, w dłoni czasu czy losu zgniecionej twarzy. Szła szerokim, zamaszystym, do pośpiechu znać przyzwyczajonym krokiem, a długie jej ramiona, u których wisiały ciemne, kościste ręce, kołysały się u jej boków w tył i naprzód, białą, rozwiniętą

---

<sup>8</sup> *mantyla* – najczęściej: krótki płaszczyk lub chustka, lekki szal zakrywający ramiona i głowę kobiet. [przypis edytorski]

chustką jak chorągwią powiewając.

Kobietę z kwiatami trudno byłoby nazwać od razu panną z wyższego towarzystwa albo też dziewczyną z niższych warstw wiejskiej ludności. Wyglądała trochę na jedno i na drugie. Wysoka, choć znacznie od towarzyski swojej niższa, ubrana była w czarną wełnianą suknię, bardzo skromną, która jednak wybornie uwydatniając jej kształtną i silną, w ramionach szeroką, a w pasie cienką kibić zdradzała znajomość żurnalu mód i rękę biegłego krawca. W wyprostowaniu jej kibici i w delikatności cery czuć było także manierę i cieplarnię. Ale w zamian ruchy jej i gesty sprzeczały się z całością jej osoby trochę popędliwości i jakby przybranej rubaszości, nie miała ona przy tym na sobie ani kapelusza, ani rękawiczek. Głowę owiniętą czarnym jak heban warkoczem i twarz śniadą, z purpurowymi ustami i wielkimi, szarymi oczami śmiało wystawiała na upalne gorąco słońca. Płócienny, tani parasolik opierała o ramię, a ręce jej dość duże i opalone zdradzały nader rzadkie używanie rękawiczek. Wszystko to uderzało tym więcej, że sposób, w jaki trzymała swą odkrytą głowę i ciemne brwi nad siwymi oczami ściągała, nadawał jej wyraz śmiałości i dumy. W ogóle ta panna czy ta dziewczyna na lat dwadzieścia parę wyglądająca wydawała się uosobieniem piękności kobiecej zdrowej i silnej, lecz dumnej i chmurnej. Pogody, jaką nadaje ludzkim twarzom szczęście lub rezygnacja, w tej młodej i świeżej, ale niespokojnej i zamyślonej twarzy nie było, jakkolwiek rozjaśniało ją teraz to zupełnie fizyczne ożywienie, którym istotę ludzką, niezupełnie jeszcze

przez życie zniweczoną, napełnia długa i swobodna kąpiel w kipiącym zdroju przyrody.

Prędko idąc, aby szerokim krokiem towarzyszki swej wyrównać, z zajęciem, prawie z miłością przyglądała się ona uzbieranej przed chwilą więzi roślin. Były tam bujne liliowe dzwonki leśne, goździki, pachnące smółki<sup>9</sup>, liście młodych paproci, młodzietkami szyszkami okryte gałązki sośniny. Wszystko to rzucało jej w twarz falę dzikiej i przenikliwej woni, którą też ona od chwili do chwili wciągała pełnym i długim oddechem swej silnej, szerokiej piersi. Rozkosz, którą uczuwała wtedy, i upał słońca, w którym nurzała swą odkrytą głowę, rumieńcem powlekły śniade jej policzki; zarazem surowe jej i zamyślane, choć pełne purpurowej krwi usta rozchyliły się w młodym i szczerym śmiechu. Śmiała się ze słów towarzyszki swej, która idąc wciąż prędko i wielkimi stopami swymi z wysoka i mocno o ziemię uderzając, grubym, nieco ochrypłym, przez brak oddechu często przerywanym głosem ciągnęła w borku jeszcze rozpoczęte opowiadanie.

– Ot, tu, powiadam ci, w tym samym miejscu, pomiędzy tymi wzgórkami, te głupie chłopcy wzięli mnie za cholereę... Może nie wierzysz? Słowo honoru, prawdę mówię! Jeszcze wtedy nie była w Korczynie, jeszcze mała byłaś, bo było to właśnie wtedy, kiedy ojczulek twój z tą Francuzicą romansował!...

Urwała nagle, stanęła, chrząknęła tak głośno, że aż rozległo

---

<sup>9</sup> *smółka* – niski kwiat z rodziny roślin goździkowatych koloru czerwonego, purpurowego, bordowego i karminowego. [przypis edytorski]

się po polu; chustką trzymaną w rękę jeszcze głośniej nos utarła i gniewnie do siebie zamruczała:

– Wieczna głupota moja!

Młoda panna, której na chwilę twarz znieruchomiała, uśmiechnęła się znowu.

– Co tam! Niech ciocia na to nie zważa! Jaż wiem dobrze o wszystkim i z przeszłością oswoiłam się zupełnie... Przecież ciocia nie przez złośliwość pewno... Co tam! Jakże to było z tą cholera?

Zaczęły iść dalej, tak samo prędko jak wprzód. Stara mówiła znowu:

– Ot, jak było. Z kościoła wracałam, tak jak i teraz, a śpieszyłam bardzo, bo Emilka była chora i goście mieli na obiad przyjechać... Więc leciałam co tchu, wprost przez pole, które wtedy ugorem stało, przez puste zagony... Co dam krok, to półtora zagona przesadzę... Wprost jakbym nad ziemią leciała... A miałam na sobie zieloną suknię... jeszcze wtedy kolorowe suknie nosiłam... Kapelusz taki, ot, słomkowy zdjęłam i dla ochłody machałam nim sobie przed twarzą... Uf! nie mogę...

Zdyszała się, stanęła znowu i zaczęła kaszleć. Kaszel jej był gruby, chrypliwy, głośny, jakby dobywał się z głębi beczki. Mało jednak zwracała nań uwagi i zaraz idąc znowu opowiadała dalej:

– Cholera wtedy grasowała po świecie; w naszych stronach jej jeszcze nie było, ale ludzie lękali się, aby nie przyszła... Otóż, kiedy mnie chłopci wracający z kościoła zobaczyli tak lecącą polem, jak narobią krzyku, płaczu... Jedni zaczęli uciekać i

biec tak prędko, jakby ich diabeł gonił, drudzy popadali pośród dróg na kolana i nuż żegnać się, czołami bić o ziemię, pacierze głośno mówić... „Cholera! – krzyczą – ot i już bieży, nam na zgubienie!” „Ale! – odpowiadają drudzy – już to nie co innego! Cholera i koniec! Wielka taka, że głową nieba dostaje, w zielonej sukni i złotą łopatą macha!” Ta łopata, uważasz, to był mój kapelusz na słońcu błyszczący... prawda, że go też dobrze spłaszczyłam, bo zdjąwszy w kościele z powodu gorąca i nie mając gdzie podziać, położyłam go na ławce i przez całe nabożeństwo na nim siedziałam... Uf! nie mogę...

Znowu zabrakło jej oddechu, chrząkała, nos ucierała i chwilę szła milcząc.

– I cóż się stało potem? – zapytała młoda panna.

– A cóż? Daremnie ekonom, który jak raz wtedy wracał też z kościoła, i Bohatyrowicze, którzy mnie kiedyś znali, z bliska nawet znali, perswadowali chłopom, że to nie była cholera, tylko panna Marta Korczyńska z Korczyna, kuzynka pana Benedykta Korczyńskiego... Nie uwierzyli i do dzisiejszego dnia nie wierzą... „Ot – mówią – czy to taka kobieta może gdzie być na świecie? Głową do nieba dostawała, nad ziemią leciała, zieloną suknię miała na sobie i złotą łopatą machała, morowe powietrze przed sobą pędząc...” Wieczna głupota ludzka! Powiadam ci, Justynko, że ludzka głupota to wielki i wieczny kamień. Większy on jeszcze od ludzkiej złości. Już ja to wiem, bo był czas, że i sama tak uderzyłam się o swoją własną głupotę, że... Uf! nie mogę...

Sapała, chrząkała, kaszłała znowu głośno jak z beczki. Justyna policzki i usta topiąc w dzwonek<sup>10</sup>, paprociach i gwoździkach zauważyła:

– Przecież cioci te niemądre gadania nic nie zaszkodziły...

Czarne oczy Marty Korczyńskiej spojrzały ostro, prawie zjadliwie.

– Tak myślisz? – sarknęła – wiecznie to samo. Nikt nie uwierzy w to, czego sam nie doświadczył. Nie zaszkodziły! Pewno, nie zjadły mnie one, ale... ukąsiły. Czy ty myślisz, że to miło być wziętą za cholere? Nie byłam ja wtedy tak stara... dwanaście lat temu miałam lat trzydzieści sześć...

– Więc teraz czterdzieści osiem? – z niejakim zdziwieniem zauważyła Justyna.

– A ty może myślałaś, że sześćdziesiąt? – ostro zaśmiała się Marta. – Zapewne wyglądam na tyle, sama to wiem, a i wtedy już niewiele lepiej jak wyglądałam. Może nie wiesz dlaczego? Ha? Czy wiesz, dlaczego?

– Wiem – z powagą odpowiedziała panna.

– No, to dobrze, że wiesz, bo może zrobisz co takiego, abyś i sama prędko na cholere wyglądać nie zaczęła...

Justyna ramionami wzruszyła.

– A cóż ja takiego zrobić i co przeciw temu poradzić mogę?

Zamyśliły się obie i mimo woli zwolniły kroku, co najpierw spostrzegła starsza.

---

<sup>10</sup> *dzwonek* – kwiat o kształcie dzwonka, najczęściej koloru białego i fioletowego; głównie spotykany w górach. [przypis edytorski]

– No, wleczem się jak żółwie. Prędeż, bo już tam Emilka wyrzeka pewno, że nie wracam, i zaczyna dostawać migreny albo globusa...<sup>11</sup>

– A Terenia – podchwyciła panna – biegnie po krople z bobrowej esencji albo po proszki bromowe, albo po antymigrenowy ołówek<sup>12</sup>, albo po Rigollot<sup>13</sup>.

Zaśmiała się, lecz wnet spoważniała znowu.

– Wujenka jest naprawdę biedna z tym ciągłym chorowaniem. Marta kiwnęła głową i machnęła ręką.

– A pewno – rzekła – biedna kobieta! Ale bo, widzisz, żeby tak pchły pieścić, jak ona swoje choroby pieści, to by na wołów powyrastały, słowo honoru!

W tej chwili za rozmawiającymi rozległ się turkot powozu; droga była w tym miejscu wąska, zeszły więc na stronę. Szły samym skrajem pola porośłego gęstą pszenicą. Biała i sucha kurzawa owiała je wielkim kłębem, o tyle jednak przezroczystym, że rozpoznać w niej było można zgrabny faeton<sup>14</sup>, ciągnięty przez cztery piękne, błyszczącą uprzężą

---

<sup>11</sup> *globus* (łac. pełna nazwa: *globus histericus*) – kula histeryczna; daw. nazwa znanego objawu zaburzeń nerwicowych polegającego na uczuciu utrudniającego przetykanie i oddychanie ucisku w przetyku. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *antymigrenowy ołówek* – sztyft parafinowo-mentolowy stosowany dla złagodzenia bólu głowy. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *Rigollot* (daw.) – plaster gorzycowy; eponim od nazwiska lekarza fr., będącego wynalazcą tego środka stosowanego przy bólach mięśniowo-stawowych. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *faeton* – lekki powóz używany do spacerów. [przypis edytorski]

okryte konie i dwu siedzących w faetonie mężczyzn. Widziały też, że obaj mężczyźni, spostrzegłszy je, podnieśli nad głowami czapki, a jeden z nich nawet przechylając się nieco ku nim zawołał:

– Święte panny: Marto i Justyno, módlcie się za nami!

Marta z rozżarzonymi oczami i machając ku powozowi swą białą chustą odkrzyknęła:

– A modliłam się, modliłam się, aby Bóg panu rozum przywrócić raczył!

Wykrzykowi temu odpowiedział z oddalającego się szybko powozu wybuch śmiechu, widocznie basowy i ochryply głos Marty przedrzeźniającego. Na twarzy Justyny wybił się wyraz silnie uczutej przykrości, prawie udręczenia.

– Boże! – szepnęła – a ja miałam nadzieję, że ten człowiek dziś już do nas nie przyjedzie, że go ten pan Różyc do siebie na obiad zaprosi...

– Nie głupi on! – odpowiedziała Marta. – Zapewne Różyc zaprosił go do swego powozu; wolał więc swoje szkapiny do domu odprawić, a sam i w cudzym faetonie poparadować i u nas cudzy obiad zjeść... dwie razem korzyści dla hultaja tego...

Justyna była widocznie zaniepokojona. Już pachnąca więź<sup>15</sup>, którą trzymała w ręku, zajmować ją przestała.

– Ciekawam – szepnęła – jaką to komedię mieć dziś będziemy?

Marta spojrzała na nią przenikliwie i ciszej trochę rzekła:

---

<sup>15</sup> więź – bukiet. [przypis edytorski]

– O papuńcie swego lękasz się, ha? Ten błazen wieczne facecje<sup>16</sup> wyprawia z tym safandulą...

Tu aż się za wklęsłe usta swoje wielką ręką chwyciła.

Po czole, ustach i nawet ramionach Justyny przebiegło drgnienie nagle jakby uczutego obrzydzenia; wnet jednak odpowiedziała:

– Niech ciocia śmiało wszystko przede mną mówi. Ja dawno już zrozumiałam położenie ojca i swoje, dawno, dawno... ale oswoić się z nim nie mogę, i nigdy, nigdy z nim się nie pogodzę...

Marta zaśmiała się.

– Ot. Lubię takie gadanie! Ciekawam, co zrobisz? Musisz pogodzić się albo powieszysz się chyba czy utopisz się... Każdy desperuje z początku, a potem i godzi się z takim losem, jaki mu Bóg czy diabeł nasyła. Bo aby wszystkie losy ludzkie były robotą Pana Boga, w to ani trochę nie wierzę. Spowiadałam się już z tego i raz nawet absolucji<sup>17</sup> od księdza nie dostałam, jednak nie wierzę... Powiadam ci, że każdy z początku desperuje, a potem jak baran na rzeź spokojnie swoją drogą idzie... Uf! nie mogę!

Zakaszła się tak, że aż jej oczy łzami zaszyły. Krztusząc się jeszcze, tymi załzawionymi oczami na towarzyszkę popatrzała.

– Ty bo, Justynko, straszną melancholiczką jesteś! Czemu nie robisz tak jak i inne panny? Z łaski wuja i wujenki korzystaj, strój się, kiedy cię stroić chcą, baw się, gdy tylko zdarzy się okazja, mizdrz się do kawalerów, a może którego złapiesz i za

---

<sup>16</sup> *facecja* – żart, dowcip. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *absolucja* – rozgrzeszenie. [przypis edytorski]

mąż wyjdiesz... ha? Słowo honoru! Czemu ty tak nie robisz?

Justyna nie odpowiadała. Szła prosto i równym krokiem jak wprzód, tylko w rozpalonych i zamyślonych jej oczach błysnęły łzy.

– Phi! – zaśmiała się Marta – melancholiczką jesteś... i dumna jak księżniczka. Od wujostwa nic przyjmować nie chcesz, ze swoich procencików ubierasz siebie i ojca, trzewiki nawet oszczędzasz, tak że czasem boso chodzisz, kapelusza i rękawiczek nie nosisz...

– O, niech ciocia tak nie myśli! – porywczo prawie zawołała Justyna. – Ja ani kłamać, ani udawać nie chcę! Prawda, że zawsze łamię sobie głowę, aby mnie i ojcu tych kilku własnych naszych groszy na odzienie przynajmniej wystarczyło... Ale boso czasem chodzę i kapeluszków ani żadnych drogich rzeczy nie noszę nie tylko dlatego... nie tylko dlatego...

– To i dlaczegóż? No, dlaczegóż? – błyskając oczami dopytywała się stara panna.

– Dlatego – z nagłym i silnym rumieńcem odparła Justyna – że dawno już odechciało mi się ich strojów i zabaw, ich poezji i ich miłości... Żyję tak, jak oni wszyscy, bo skądże sobie wezmę innego życia, ale jeżeli mogę zrobić co inaczej niż oni, po swojemu robię i nikogo to obchodzić nie powinno.

Marta przypatrywała się jej przenikliwie i z uwagą.

– A wszystko to – rzekła – poszło od tej historii twojej z Zygmuntem Korczyńskim... prawda? Cha! cha! Myślałaś wtedy pewno, że cię otwartymi ramionami spotkają i do rodziny swojej

wprowadzą... bo i tak przecie krewną im przychodzisz... A oni tymczasem... gdzie! Ani pomyśleć o tym nie dali mazgajowi temu... Cha! cha! wiem ja to wszystko, wiem! Wieczna głupota ludzka!

Justyna ze wzrokiem w ziemię wbitym milczała.

– No, a myśliszże ty jeszcze czasem o tym mazgaju? Serce... boli jeszcze czasem?

– Nie.

Z krótkiej tej odpowiedzi poznać można było, że panna Justyna mówić nie chce o przedmiocie przez starszą jej towarzyszkę zaczepionym. Tylko już wszelki cień uprzedniego ożywienia zniknął z jej twarzy. Zmysły jej przestały pić z kielicha rozkwitłej przyrody rozkoszny napój zapomnienia. Gryząca troska przejrzała się w zwierciadle jej szarych, przezroczystych źrenic; jakieś wspomnienia czy wstręty opuściły w dół końce pąsowych warg, nadając im wyraz znudzenia i goryczy. Wtem na drodze za dwoma idącymi kobietami zaturkotały znowu koła, tylko nieco inaczej niż wprzód. Nie był to głuchy i do cichego grzmotu podobny turkot faetonu, ale klekotliwe trochę i z lekkim skrzypieniem połączone toczenie się kół prostego wozu. Kurzawa też podniosła się znacznie mniejsza, opadła prędko i dwie kobiety, obejrzawszy się ujrzały za sobą długi wóz napełniony słomą, którą z obu boków przytrzymały drewniane drabiny, a okrywał wzdłuż wozu rozestłany, pasiasty i barwisty, na domowych, wiejskich krosnach utkany kilimek<sup>18</sup>.

---

<sup>18</sup> *kilim* – ozdobny, kolorowy dywanik, najczęściej wieszany na ścianę. [przypis

Wóz ten ciągnęła para koników małych, tłustych, z których jeden był kasztanowaty<sup>19</sup> z konopiasną grzywą, a drugi gniady<sup>20</sup> z białymi nogami i białą łatką na czole. Oplatała je z rzadka uprząż z prostych, grubych powrozów. Gdyby nawet koła tego wiejskiego ekwipażu nie turkotały wcale, a ciągnące go drobnym truchtem koniki stąpały bez najlżejszego szelestu, zbliżenie się jego dałoby znać o sobie przez unoszący się zeń wielki gwar głosów. Napełniało go towarzystwo liczne. Na słomie okrytej pasiastym kilimkiem, pomiędzy okrągłymi poręczami drabin, siedziało kilka kobiet, z których jedna tylko była niemłoda, w ciemnej chustce na plecach i wielkim czepcu na głowie, inne zaś, niby klomb ogrodowy, kwitły rumieńcami twarzy i jaskrawymi barwami ubrań. Było im tak ciasno, że siedziały w różnych postawach i kierunkach, twarzami, bokami i plecami ku sobie zwrócone, ściśnięte jak kwiaty w bukietach. Jednym z nich w tym ścisisku chustki z głów pospadały i tworzyły na plecach kapiszony z muślinu albo perkalu; innym kosy<sup>21</sup> nawet czarne albo złociste rozwinęły się na błękitne albo różowe staniki, a u wszystkich nad

---

edytorski]

<sup>19</sup> *kasztanowaty* – określenie maści (a więc barwy sierści) konia; maść kasztanowata to taka, w której włosy na ciele, w grzywie oraz ogonie konia są brązowej lub złocistej barwy; możliwe są natomiast tzw. odmastki, czyli np. biała skarpetka na nodze lub gwiazdka na czole. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *gniady* – określenie maści konia; maść gniada to taka, w której włosy tułowia są barwy brązowej, czekoladowej lub złocistobrązowej, zaś sierść nóg i pyska ciemniejsza lub całkowicie czarna, a włosy grzywy i ogona czarne lub ciemnobrązowe. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *kosa* – tu: warkocz. [przypis edytorski]

uszami i przy skroniach zwieszały się albo sterczały wetknięte we włosy pąsowe, liliowe i żółte kwiaty. Wóz trząsał nimi i silne ich kibicie chwiały wciąż w kierunki różne, chwytaly też drabiny ciemnymi rękami albo czepiały się wzajem swych ramion i sukien śmiejąc się i gadając głośno i wszystkie razem. W tym gwarnym ogródku było tak ciasno, że woźnicy zabrakło miejsca do siedzenia: kierował on końmi stojąc u samego brzegu wozu, a można by przypuścić, że postawę tę przybrał nie z konieczności, ale przez zalotność, dlatego aby w najkorzystniejszym świetle wydać się współtowarzyszkom podróży. Był to mężczyzna trzydziestoletni, wysoki i tak zgrabny, jakby go matka natura z lubością i wielkim staraniem na łonie swym wyhodowała. Tymczasem nie co innego, tylko ciężka praca około zdobywania jej darów, gorące jej żary letnie i dzikie polne powiewy nadały temu ciału taką harmonię i siłę, że trzęsący się i podskakujący wóz nie mógł zmącić ani na chwilę jego prostych i wyniosłych linii. Od ogorzałej cery jego twarzy silnie odbijały złociste, bujne wąsy i jasnozłote włosy, opadające spod czapki na kołnierz szarej, krótkiej kurty, ku ozdobie zapewne zieloną taśmą oszytej. Niedbale w ogorzałych rękach trzymając lejce i nie odwracając twarzy ku wiezionym przez się kobietom, odpowiadał wesoło na zapytania ich i przycinki, czasem męski śmiech swój łączył z chórem cienkich, piskliwych śmiechów dziewcząt.

Marta i Justyna zatrzymały się u brzegu drogi, w cieniu wierzby, której kwiat podobny do zielonawych robaczków osypywał im suknie i głowy. Marta w kierunku jadących

machnęła swą białą chustką i niezwykle u niej przyjaznym głosem krzyknęła:

– Dobry wieczór, panie Bohatyrowicz! Dobry wieczór!

Woźnica szybko zdjął czapkę, odkrywając czoło mniej opalone od reszty twarzy, gładkie i pogodne.

– Dobry wieczór! – odpowiedział.

– Dobry wieczór! – chórem krzyknęły dziewczęta.

– A skądżeś to pan wziął tyle dziewcząt? – zawołała znowu stara panna.

– Po drodze jak poziomki uzbierałem – nie zatrzymując koni, ale tylko zwalniając nieco ich biegu odpowiedział zagadnięty.

Jedna z dziewczyn, najśmielsza znać, przechylając się przez drabinę wozu i białymi zębami błyskając, głośno prawić zaczęła:

– Piechotę, proszę pani, szłyśmy... a on nas napędził, tośmy mu kazały, aby nas zabrał...

– Oho! Kazały! – zażartowała Marta.

– A jakże! – potwierdziła dziewczyna z wozu – czy ja nie mam prawa jemu nakazywać? Jaż jego strzeczna<sup>22</sup> siostra! Dla siostry szacunek mieć powinien! Bardzo słusznie!

W tej chwili wóz zrównał się ze stojącymi pod wierzbą kobietami, woźnica po raz drugi zdjął czapkę i spojrzenie jego z wysoka spłynęło na Justynę. W tym szybkim spojrzeniu dostrzec można było, że oczy woźnicy błękitne były jak turkusy i że w tej chwili przeleciała w nich błyskawica. Ale wnet włożył na głowę czapkę, twarz znowu ku drodze zwrócił i poruszywszy lejcami

---

<sup>22</sup> *strzeczna* (gwar.) – *stryjeczna*. [przypis edytorski]

zawołał na konie, aby szły pędzej.

Wóz zaczął toczyć się pędzej. Justyna z zaciekawieniem i figlarnością w oczach, z rozchyłonymi w uśmiechu ustami podskoczyła i gestem wesołym, który by nawet wykwintnemu oku mógł wydać się rubasznym, rzuciła na jadące kobiety swoją więź gałęzi i kwiatów. Na wozie wybuchnęły śmiechy, dziewczęta chwyciły rozsypane kwiaty, niektóre z nich wołały:

– Dziękujemy! Dziękujemy panience!

Ale woźnica nie obejrzał się i nie zapytał o przyczynę powstałego na wozie gwaru. Zamyślił się o czymś tak bardzo, że aż głowę, którą przedtem wysoko trzymał, trochę pochylił.

Dwie kobiety iść znowu zaczęły. Marta mówiła:

– Ten Janek Bohatyrowicz na pięknego i dzielnego chłopaka wyrósł... Znałam go dzieckiem... Znałam ich kiedyś wszystkich... kiedyś... dobrze i z bliska...

Zamyśliła się, mówiła ciszej trochę niż zwykle.

– Był, uważasz, taki czas krótki, że ci Bohatyrowicze u nas we dworze bywali i do stołu z nami siadali... mianowicie, ojciec tego Janka, Jerzy, i stryj jego, ten Anzelm Bohatyrowicz, co to teraz podobno schorowany i melancholikiem jakimś stał się... Jednakowoż jaki to był kiedyś mężczyzna... przystojny, odważny, patriota... romansowy... Do takiej poufałości wtedy pomiędzy dworem a tą szlachecką okolicą przyszło, że siadę sobie, bywało, do fortepianu i akordy biorę, a Anzelm za mną stanie i śpiewa: „Bywaj, dziewczę, zdrowe, ojczyzna mię woła!” A potem ja jemu śpiewam: „Szumiała dąbrowa, wojacy

jechali...” Będzie temu już lat dwadzieścia dwa... trzy... Jaki to był gwar u nas, jakie życie i moje, i wszystkich... A teraz wszystko inaczej... inaczej... – wieczny smutek...

Mówiła to coraz powolniej, głową kiwała, a ogniste jej oczy nieruchomo tkwiły w dalekim punkcie przestrzeni. Wtem znad wozu, który oddalił się o kilkadziesiąt kroków, z towarzyszeniem klekotliwego turkotu kół wzniósł się czysty i silny głos mężczyzny z całej szerokiej piersi śpiewający strofę starej pieśni:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,  
A ja doliną;  
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą,  
A ja kaliną.

Justyna z szeroko otwartymi oczami i rozchyłonymi w uśmiechu usty słuchała pieśni, która dalej rozlewała po polach swą rozgłosną i smętną nutę:

Ty pójdziesz drogą, ty pójdziesz drogą,  
A ja łożami;  
Ty się zmyjesz wodą, ty się zmyjesz wodą,  
Ja mymi łzami...

– Słowo honoru! – nagle i najgłębszym swym basem zawołała Marta – i my kiedyś z Anzelmem śpiewaliśmy ten sam duet...

Na wozie stojący wysoki mężczyzna w znacznym już od dwóch kobiet oddaleniu śpiewał dalej:

Ty jesteś panną, ty jesteś panną  
Przy wielkim dworze;  
A ja będę księdzem, a ja będę księdzem  
W białym klasztorze...

– Ot – sarknęła Marta – w pieśni jest „będziesz” nie „jesteś”.  
Dlaczego on śpiewa „jesteś”? Przerabia sobie stare pieśni,  
błazen!

Justyna uwagi tej nie słyszała. Gorący płomień przemknął w  
jej oczach.

– Pyszny głos! – szepnęła.

– Nieszpetny – odpowiedziała Marta. – Pomiedzy nimi często  
znajdują się piękne głosy i śpiewacy z nich zawołani... I ten  
Anzelm kiedyś, gdzie tylko, bywało, obróci się... śpiewa.

Z daleka już, z daleka od toczącego się wozu przyplęnęła  
jedna jeszcze strofa:

A jak pomrzemy, a jak pomrzemy,  
Każemy sobie  
Złotne litery, złotne litery  
Wyryć na grobie...

Stara panna stanęła nagle pośród drogi, podobna do  
wysokiego słupa ubranego w słomiany kapelusz i stojącego na  
dwu wielkich nogach w kwiecistych pantoflach. Wzrok w twarzy  
młodej dziewczyny utkwiała, wspomnienia i rozczulenia jakies

pracowały w jej chrypliwie oddychającej piersi, aż krzyknęła prawie:

– A koniec tej pieśni znasz? Naturalnie, że nie znasz! Teraz już jej nikt... oprócz nich... nie śpiewa...

Ramiona rozkrzyżowała i grubym, ochrypłym głosem zadeklamowała:

A kto tam przyjdzie albo przyjedzie,  
Przeczyta sobie:  
Złączona para, złączona para  
Leży w tym grobie!

– Ot, jaki koniec! – powtórzyła i wnet szerszymi jeszcze jak wprzódy krokami i mocniej ramionami rozmachując poszła dalej.

Wóz napęczniony wiejskimi dziewczętami wtoczył się pomiędzy szare domostwa i gęste ogrody wsi, długim sznurem rozciągniętej nad brzegiem wysokiej góry, u której stóp w falach swych błękit nieba i ciemny bór odbijając płynął cichy, spokojny Niemen.

## II

W korczyńskim dworze na rozległym trawniku dziedzińca rosły wysokie i grube jawory otoczone niższą od nich gęstwiną koralowych bzów, akacji, buldenezów<sup>23</sup> i jeszcze niższą jaśminów, spirei<sup>24</sup> i krzaczastych róż. Dokoła starych, kiedyś kosztownych sztachet, topole, kasztany i lipy ścianą gęstej zieloności zakrywały drewniane gospodarskie budynki. U zbiegu dwu dróg okalających trawnik i rosnące wśród niego potężne grupy drzew i krzewów stał dom drewniany także, niepobielony, niski, ozdobiony wijącymi się po jego ścianach powojami, z wielkim gankiem i długim rzędem okien mających kształt nieco gotycki. Na ganku pomiędzy oleandrowymi<sup>25</sup> drzewami, rosnącymi w drewnianych wazonach, stały żelazne kanapki, krzesła i stoliki. Naprzeciw gospodarskich zabudowań wznosiła się nad sztachetami gęsta zieloność starego znac, bo w aleje z grubych drzew wysadzanego, ogrodu. Dalej widać było u jednego z krańców ogrodu przeświecający przez zieloność ów wysoki, w słońcu złocisty brzeg Niemna, a z niektórych punktów

---

<sup>23</sup> *buldenez* – krzew ozdobny, należący do odmiany kaliny, o dużych, kulistych, najczęściej białych kwiatostanach. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *spirea* – inaczej: tawuła; krzew ozdobny, należący do rodziny różowatych; drobne kwiaty kształtują duże grona; spirea może kwitnąć na czerwono, różowo, żółto i biało. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *oleander* – wiecznie zielone drzewo ozdobne o dużych czerwonych, różowych lub białych kwiatach i skórzastych liściach. [przypis edytorski]

dzielnica widzialna byla i sama rzeka, szeroka, w tym miejscu okraglym lukiem skrecajaca sie za bor ciemny.

Nie byl to dwor wielkopański, ale jeden z tych starych, szlacheckich dworów, w których niegdyś mieściły się znaczne dostatki<sup>26</sup> i wrzało życie ludne, szerokie, wesołe. Jak działa się tu teraz, aby o tym wiedzieć, trzeba było dowiadywać się z bliska, ale co w oczy od razu wpadało, to wielka usilność o zachowanie miejsca tego w porządku i całości. Jakaś ręka gorliwa i pracowita zajmowała się wciąż jego podpieraniem, naprawianiem, oczyszczaniem. Sztachety psuły się tu po wielokroć, ale zawsze je naprawiono, więc choć połatane, stały prosto i dobrze strzegły dziedzina i ogrodu. Stare również gospodarskie budynki miały silne podpory, a w wielu miejscach nowe strzechy i nowe pomiędzy drewnianymi ścianami słupy z kamieni. Stary dom niski był i widocznie z każdym rokiem więcej wsuwał się w ziemię, lecz z dachem gontowym i jasnymi szybami okien nie miał wcale pozoru ruiny. Rzadkich, kosztownych kwiatów i roślin nie było tu nigdzie, ale też nigdzie nie rosły pokrzywy, łopuchy, osty i chrzany, a stare drzewa i dawno znać zasadzone, bo potężnie rozrosłe krzewy wyglądały świeżo i zdrowo. Dworowi temu, w którym jednak widocznie wciąż się coś psuło i naprawiane było, w którym widocznie także nic od dawna nie dodawano i nie wznoszono, ale tylko to, co już stało i rosło, przechowywano, porządek, czystość i dbałość nadawały pozór dostatku i prawie wspaniałości.

---

<sup>26</sup> *dostatek* – bogactwo. [przypis edytorski]

Wielkość zajmowanej przezeń przestrzeni, niezmiernie bogactwo napełniającej go roślinności, sama nawet starość niskiego domu i niejaka dziwaczność gotyckich jego okien wywierały wrażenie powagi, wzbudzały mimowolną poezję wspomnień. Mimo woli wspomnieć tu trzeba było o tych, którzy sadzili te ogromne drzewa i żyli w tym stuletnim domu, o tej rzece czasu, która nad tym miejscem przepłynęła, to cicha, to szumna, lecz nieubłaganie unosząca z sobą ludzkie rozkosze i rozpacz, grzechy i – prochy.

Wnętrze domu posiadało te same, co i dwór cały, cechy dawnego bogactwa chronionego przez czujne i niestrudzone starania od rozpadnięcia się w łachmany i próchno. W obszernych, niskich i dobrze oświetlonych sieniach sterczały na ścianach przed wielu już zapewne dziesiątkami lat umieszczone ogromne rogi łosi i jeleni; pomiędzy nimi wisały uschłe wieńce ze zboża przetykanego czerwienią kalinowych i jarzębinowych jagód; naprzeciw drzwi wchodowych wschody<sup>27</sup> wąskie, niegdyś wykwintne, a dziś ślady tylko dawnej politurę noszące, prowadziły do górnej części domu. Z tych sieni dwoje drzwi na oścież rozwartych wiodło z jednej strony do obszernej sali jadalnej, z drugiej – do wielkiego o czterech oknach, salonu. Oba te pokoje dostatecznie zapełniały sprzęty, które, jak z kształtu i gatunku ich wnosić było można, kupionymi były przed dwudziestu przeszło laty i kosztowały wiele; teraz przecież ukazywały się na nich tu i ówdzie niewprawną ręką

---

<sup>27</sup> *wschody* – schody. [przypis edytorski]

wiejskiego rzemieślnika dokonane sklejenia i naprawy, a drogą materię, która niegdyś okrywać je musiała, zastąpiła zupełnie tania i pospolita. Obicia na ścianach, tak jak i sprzęty, niegdyś kosztowne i piękne, a teraz postarzałe i spłowiałe, błyskały jeszcze tu i ówdzie złożonymi bukietami i arabeskami<sup>28</sup>, zakrywało je zresztą w znacznej części kilka pięknych kopii ze sławnych obrazów i kilkanaście rodzinnych portretów w staroświeckich, ciężkich, z wytartą pozłotą ramach. Podłogi były tam woskowane i błyszczące, niskie sufity białe i czyste, drzwi staroświeckie, ciężkie, z błyszczącymi brązowymi klamkami, dywany duże i spłowiałe. W rogu salonu piękny fortepian, u okien ze smakiem ustawione grupy zielonych roślin. Widać było wyraźnie, że od lat dwudziestu nic tu nie przybyło, ale i nic nie ubyło, a to, co brudził, łamał i rozdzierał czas, ktoś ciągle oczyszczał, zszywał i naprawiał. Sprawiało to wrażenie pilnej pracy, usiłującej zwolnić, może zupełnie powstrzymać, stopniowo, lecz nieubłaganie proceder swój wiodącą przemianę bogactwa w nędzę.

W przyległym wielkiemu salonowi pokoju, którego okno, jak i okna salonu, wychodziło na błękitniejący zza rzędu starych klonów Niemen, znajdowało się towarzystwo złożone z osób czterech. Pokój ten miał pozór gabinetu wykwintnej kobiety. Wszystko tu było miękkie, ozdobne i wbrew temu, co działo się

---

<sup>28</sup> *arabeska* – wzór złożony z ułożonych symetrycznie elementów geometrycznych oraz motywów roślinnych; tradycyjnie wykorzystywany w kulturze arabskiej (stąd nazwa). [przypis edytorski]

w innych częściach domu, dość jeszcze nowe. Obicie osypane buketami polnych kwiatów miało pozór nieco sentymentalny; gotowalnia<sup>29</sup> okryta zwojami białego muślinu połyskiwała kryształowymi i porcelanowymi cackami; na etażerkach<sup>30</sup> leżały książki, stały zgrabne koszyki i pudełka z przyborami do ręcznych robót. Materia okrywająca sprzęty paśową barwą swą sprawiała na pierwszy rzut oka wrażenie świetności.

Z tymi wszystkimi szczegółami sprzeczała się atmosfera pokój ten napełniająca. Była ona duszna i pełna zmieszanych zapachów perfum i lekarstw; ponieważ zaś okno i drzwi od przyległych pokoiw ścielnie były zamknięte, pokój ten przypominał pudełko apteczne oklejone papierem w kwiatki i napełnione wonią olejków i trucizn. W rogu tego pokoju na paśowym szezlongu we wpiółleżącej postawie siedziała kobieta w czarnej jedwabnej sukni, z kibicią zbyt szczupłą, ale mającą w kształtach swych i ruchach wiele delikatnego wdzięku, z twarzą kiedyś znać zupełnie piękną, a i dziś jeszcze pomimo przywiednięcia i zbytcej chudości uderzającą niezmierną delikatnością płci; wielkością czarnych oczu o powłóczystym, łagodnym spojrzeniu, bujnością czarnych, starannie ułożonych włosów. Jakkolwiek skądinąd wyglądała na lat blisko czterdzieści, nie miała ani jednego siwego włosa, i

---

<sup>29</sup> *gotowalnia* – ozdobna toaletka z ruchomym lustrem, niekiedy składająca się z trzech części: dwóch ruchomych skrzydeł i części środkowej. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *etażerka* – ozdobny mebel złożony z umiejscowionych jedna pod drugą półek. [przypis edytorski]

jakkolwiek kibić jej i cera zdradzały do niedołęstwa posuniętą fizyczną słabość, drobne jej wargi były pąsowe i świeże jak u młodzianki dziewczyny. Rączki drobne, tak chude i delikatne, że prawie przezroczyste, tak pielęgnowane, że paznokcie ich posiadały kolor listka róży i połysk politur. Z wyrazem niemocy lub słodkiej rezygnacji splatała je ona i opuszczała na suknię albo rozmawiając czyniła nimi gesty rzadkie, drobne, powolne, objawiające śmiertelną obawę przed wszelkim żywszym i choćby odrobinę energiczniejszym poruszeniem ciała czy ducha.

Była to pani Emilia Korczyńska, od lat dwudziestu paru żona Benedykta Korczyńskiego, właściciela odziedziczonego przezeń po ojcach i dziadach Korczyna.

Naprzeciw pani domu siedziała kobieta na pierwszy rzut oka wcale do niej niepodobna, ale po przypatrzeniu się mająca z nią mnóstwo podobieństw. Zdawałoby się, że każda z nich należała do innego gatunku, ale do tej samej rodziny istot. Nieco młodsza, mniej widać piękna za młodu, więc teraz zupełnie już nieładna, była ona zarówno szczupła i delikatna, słodka i cierpiąca; tak samo jak tamta splatała i opuszczała ręce, takie same czyniła gesty, taki sam miała głos smutny i osłabiony. Tylko zamiast pięknego stroju pani Emilii ubiór jej składał się z taniej i wcale nieozdobnej sukienki, z grubego obuwia i z cieniutkiej, batystowej<sup>31</sup>, mocno przybrudzonej chustki, która zakrywając połowę jej brody, uszy i część włosów, małymi kończykami

---

<sup>31</sup> *batyst* – delikatna, przezroczysta tkanina, z której szyte są elementy garderoby; służąca także do ozdabiania wnętrza. [przypis edytorski]

węzła sterczała nad ogromnym i widocznie przyprawnym<sup>32</sup>, bo mocno zrudziałym warkoczem. Zapewne bolały ją zęby, ale niezbyt silnie, bo z owalnej ramy białobrudnej chustki wychylająca się twarzyczka, drobna, okrągła, przywiedła, niezmiernie czule, prawie miodowo uśmiechała się błękitnymi oczami i przywiedłymi ustami. Uśmiechała się ona w ten sposób do dwu z obu jej stron siedzących mężczyzn, z kolei zwracając się ku jednemu i drugiemu, przy czym szyja jej, biała i okrągła, czyniła ruchy łabędzia schylającego głowę ku wodzie albo synogarlicy<sup>33</sup> wyciągającej dziób ku kawałkowi cukru. Widoczne było, że ludzie ci byli dla niej tym, czym woda dla łabędzia lub cukier dla synogarlicy. Słów ich słuchała więcej niż z wyteżoną uwagą, bo z uszanowaniem i rozkoszą, wtórując im przymiłowymi uśmiechami, miodowymi spojrzeniami i cieniutkimi wykrzyknikami. Jednak żaden z nich w tej chwili bezpośrednio nie zwracał się do niej i nawet na nią nie patrzył. Tylko co przybyli, zabawiali rozmową swą panią domu, która także wydawała się ich przybyciem bardzo zadowolona. Właściwie jeden z nich głównie zabawiać ją usiłował i ona też więcej i czulej na niego niż drugiego patrzyła. Nie był jednak ponętny. Średniego wzrostu, niemłody, w bardzo starannym i modnym ubraniu, z przodem koszuli tak silnie

---

<sup>32</sup> *przyprawy* – dziś popr.: przyprawiony; dodany, dosztukowany. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *synogarlica* – gatunek ptaka z rodziny gołębiowatych o szarym lub beżowym upierzeniu. [przypis edytorski]

nakrochmalonym, że wzdymał się mu na piersiach jak wklęsła płócienna tarcza. Bolesław Kirło miał okrągłą łysinę z tyłu głowy, włosy rzadkie nad niskim czołem, twarz długą, kościstą, z małymi, błyszczącymi oczami, ostrym nosem, wklęsłymi ustami, tak starannie wygoloną, że aż na policzkach i brodzie błyszcząca. Brzydką tę twarz oświecała wielka i nigdy, zda się, nie ustająca wesołość. Z wesołym śmiechem, błyskając małymi oczami opowiadał on, że z panem Rózycem z kościoła do Korczyzna jadąc widział na polu dwie gracje<sup>34</sup>. Na mitologicznym tym wyrażeniu nacisk kładąc, z rubasznym śmiechem wołał:

– Gracje, jak Boga kocham, dwie gracje... Jedną, no to już bym każdemu darował, bo stara i zła; ale druga... ho, ho, prawdziwa gracja, niech pan Rózyce powie! Cukierek! Talia zgrabna, twarzyczka śniada, rączki... no, nie bardzo ładne, opalone... bo były bez rękawiczek...

– O! Więc gracja pańska była bez rękawiczek!... – ze słabym śmiechem zawołała pani Emilia.

– I bez kapelusza – dodał Kirło.

– Bez kapelusza! Jakże to można chodzić bez kapelusza! – cichutko chichocząc powtórzyła kobieta z brudną batystową chustką dokoła twarzy.

Kirło śmiał się; małe świdrujące jego oczki coraz ostrzej błyszczały.

– Niech pan Rózyce zaświadczy... Co, panie Teofilu? Cukierek? Cacko? Prawda?

---

<sup>34</sup> Gracje – w mit. rzym. boginie powabu, wdzięku i szczęścia. [przypis edytorski]

Wzywany na świadectwo mężczyzna nie odpowiadał. Światło z okna w ten sposób na niego padało, że twarz całkiem pozostawała w cieniu, a widać było tylko postać męską, wysoką, cienką, wykwintnie ubraną i głowę okrytą czarnymi, z lekka ufryzowanymi włosami; u oczu połyskiwały szkła binokli. Od chwili gdy wszedł tu i zamienił z panią domu pierwsze słowo powitania, nie rzekł jeszcze nic... Prawda, że Kirło mówił ciągle i prawie sam jeden. Pani Emilia z ożywieniem zapytywała: kim były gracje spotkane w polu, a szczególnie ta... bez kapelusza i rękawiczek?

– Była to zapewne jakaś wiejska dziewczyna... pan zawsze mistyfikować<sup>35</sup> nas lubi, panie Bolesławie!

– Doprawdy! – z uśmiechem pełnym rozkoszy powtórzyła druga kobieta – pan nas zawsze tak mistyfikuje... Doprawdy! Jak to można tak mistyfikować!

– Ależ wcale nie! Przysięgam paniom! Jak Boga mego kocham, wcale nie mistyfikuję... – z komicznymi gestami tłumaczył się Kirło. – Nie była to wcale żadna wiejska dziewczyna, ale panna... co się nazywa panna... z pięknej rodziny, z pięknego domu... z piękną edukacją...

– Panna z pięknej rodziny i z edukacją... – z wielkim już ożywieniem wołała pani domu – pieszo idąca, bez kapelusza... to być nie może...

– To być nie może... Pan zawsze żartuje... – zawtórzyła druga

---

<sup>35</sup> *mistyfikować* – zwodzić, oszukiwać, celowo wprowadzać w błąd. [przypis edytorski]

kobieta.

– No, a jak powiem jej imię i nazwisko, to co będzie? – z przekorną filuterią pytał gość.

– Nie wierzę – twierdziła pani Emilia.

– To być nie może; jakże to być może! – wstydliwie chichotał drugi głosik kobiecy.

– A jak powiem! – przekomarzał się Kirło – co mi za to będzie? Bez nagrody nie powiem! Dalibóg! Co mnie panie dadzą za to, ha? Czy panna Teresa pozwoli się pocałować? Co? No, panno Tereso, tak czy nie? Jeżeli pani mnie pocałuje, to powiem, jeżeli nie, to nie!

Wykwintny, w cieniu siedzący mężczyzna uczynił ruch zdziwienie czy niesmak objawiający: pani domu oswojona znać z żartobliwym usposobieniem gościa swego i nawet przyjemną rozrywkę w nim znajdująca śmiała się z cicha, trochę filuternie i zalotnie. Ale nic wyrazić nie zdoła wrażenia sprawionego przez propozycję Kirły na osobie, której ona uczyniona została. W owalnej ramie cieniutkiej, brudnej chustki mała i zwiędła jej twarz okryła się najjaskrawszym karminem; błękitne, niewinne oczy zmąciły się i nabrały wyrazu trwogi połączonej z upojeniem. Wątlą swą kibić w szarym staniku odrzuciła na tylną poręcz krzesła, ręce ku obronie wzniosła i cofając się, odwracając, rumieniąc, z chichotem, którym usiłowała pokryć zmieszanie swe i wzruszenie, bełkotała:

– Ależ, doprawdy, panie Kirło... co pan wygaduje?... jakże można? Pan zawsze żartuje...

On jednak nie tylko wygadywał i żartował, ale brał się do czynu i czyniąc gest taki, jakby ramieniem swym kibić jej miał opasać, ogoloną twarz swą z w pół dobrodusznym, a w pół złośliwym uśmiechem ku twarzy jej pochylał. Z chudych, bladych rąk swych tarczę sobie czyniąc, cała w tył odgięta, ale z dziwnie miodowym i upojonym wyrazem w oczach, wołała:

– Oj! Oj! O mój Boże! Co pan wyrabia!

Pani Emilia z niezwykłą u niej żywością poruszyła się na szeszlengu i wołać zaczęła:

– Panie Bolesławie! Proszę Tereni nie dokuczać! Niech pan jej nie dręczy! Ją dziś zęby bołą.

Kirło wyprostował się.

– Racja – wyrzekł z powagą – racja! Buziak kobiety, którą zęby bołą, pożądanym nie jest, chociażby człowiek... kiedy indziej sobie na niego i bardzo zęby zaostrzył. No, cóż mam robić? Widzę, że muszę ciekawość pań darmo już zaspokoić. Taki to los biednego człowieka na tym świecie! Żadnej za nic nagrody! Ale nie! – zawołał nagle i z komiczną desperacją zwracając się do pani domu – chyba pani choć w rączkę pocałować się pozwoli!

– Dobrze, dobrze – śmiejąc się i podając mu rękę wołała pani Emilia – tylko niech pan już mówi...

Rączkę sobie podaną, istotnie śliczną, położył na swej dużej, kościstej dłoni i z miną smakosza przyglądał się jej chwilę swymi błyszczącymi, świdrującymi oczkami.

– Śliczna! Miła! Malusia! Malusienieczka rączka! – wymówił

i złożył na niej długi pocałunek, w którym cześć i galanteria mieszały się z tajonym, niejako połykanym lubowaniem się przyjemnością innego wcale rzędu. Cień bladego rumieńca przepłynął chude policzki pani Emilii; cofnęła rękę i z większym jeszcze ożywieniem, z błyskiem w oczach, upomniała się o imię i nazwisko gracji.

– Była to – wzdychając i wydymając wargi zadeklamował Kirło – była to cioteczna siostrzenica pana Benedykta Korczyńskiego, panna Justyna Orzelska.

Dwa cienkie wykrzyki kobiece oznajmieniu temu odpowiedziały. Ale wmieszał się w nie i głos męski, który przemówił:

– Więc ta panna, którąśmy jadąc spotkali, mieszka tu... jest kuzynką państwa...

Pani Emilia dłoń przyłożyła do czoła; może w tej chwili uczuła ból głowy, ale grzeczna i słodka zawsze, goście odpowiedzieć pośpieszyła:

– Tak. Justysia jest krewną męża mego, córką jego ciotecznej siostry. Ojciec jej, pan Orzelski, przez nieszczęśliwe zdarzenia utracił swój majątek, a wkrótce potem owdowiał. Od tego czasu oboje u nas mieszkają. Justynka, kiedy przybyła do nas, miała lat czternaście, a w tym wieku już są przyzwyczajenia, skłonności, którymi pokierować trudno... Jest ona zresztą dobra, bardzo dobra, tylko oryginalna, ale to tak oryginalna, że nie wiem już, doprawdy, skąd jej się to wziąć mogło... Zawsze inaczej robi niż wszyscy.

Wykwintny mężczyzna, którego binokle połyskiwały w cieniu, wymówił:

– Piękna panna.

A po krótkiej chwili dodał:

– Jest w jej powierzchowności jakaś świeżość, siła, prostota...

– O! – zawołał Kirło – widzi pani, jak dobrze się przypatrzył... a raz tylko i to wśród drogi cukierek ten widział...

Kobieta z obwiązaną twarzą wtrąciła:

– Justynka ma śliczną figurę... Ja zawsze figury jej zazdroszczę...

Błyszczące binokle szybko zwróciły się ku niej.

– Pani mówi? – cedząc nieco wyrazy zapytał gość.

Może pani Emilia uczuła niewłaściwość odezwania się swej towarzyszki, bo szybko wtrąciła:

– Tereniu, nie przedstawiłam ci jeszcze nowego sąsiada naszego... Gdy był u nas po raz pierwszy, leżałaś na migrenę czy flukcję<sup>36</sup>... Pan Teofil Różyc, panna Teresa Plińska, towarzyszka moja, niegdyś nauczycielka mojej córki, gdy była ona malutka... Wszakże to drugi raz dopiero mam przyjemność widzieć pana w domu naszym?

– Tak, pani – z wytwornym ukłonem odpowiedział zapytany – i winszuję sobie, że w tej pustej okolicy znalazł dom taki jak państwa. Zawdzięczam to panu Kirle, który mnie pod tym

---

<sup>36</sup> *fluksja* (daw.; z łac. *fluxio*: upływ) – zapalenie dziąseł lub okostnej, często połączone ze zbieraniem się ropy; tu mamy do czynienia ze zniekształconą formą: flukcja. [przypis edytorski]

względem oświecił...

– Pan Kirło jest w każdym wypadku najlepszym sąsiadem i przyjacielem naszym.

– Ja, pani, jestem zawsze najlepszym z ludzi i tylko... zapoznanym<sup>37</sup>.

– W domu naszym przynajmniej znajdujesz pan najzupełniejsze uznanie...

Kirło uklonił się z galanterią i wdzięcznością, ale dodał:

– Nie u wszystkich, niestety, mieszkańców tego domu...

– Ależ nie! U wszystkich! Któż by?...

– Panna Marta, na przykład, nie uznaje mię... – z komiczną żałością skarżył się Kirło.

– O, Marta... Ona taka biedna... zgorzkniała... popędliwa...

– Panna Justyna...

– O Justynka! Ona tak jest oryginalna...

– Mąż pani...

– Mąż mój! On zajęty... nietowarzystki... zawsze tylko o gospodarstwie swoim i o interesach...

Przerwała i zwróciła się do Teresy Plińskiej, która w tej chwili z zachwyceniem przypatrywała się błyszczącym binoklom w cieniu siedzącego gościa.

– Tereniu, daj mi trochę wody i proszek bromowy, bo czuję nadchodzący globus.

Teresa poskoczyła ku toalecie i w mgnieniu oka podała towarzysze żądane przedmioty. Pani Emilia delikatnie, z

---

<sup>37</sup> *zapoznany* (daw.) – zapomniany, niedoceniony. [przypis edytorski]

wdziękiem ujęła jedną ręką kryształową szklanekę, drugą proszek zamknięty w dwu okrągłych opłatkach i tłumacząc się jakby z czynności, której dokonać miała, do nowego sąsiada rzekła:

– *Globus histericus*... dokucza mi bardzo... szczególnie kiedy się czymś wzruszę... zmartwię...

Tu połknęła proszek. Miała tyle powabu i gracji przy połykaniu lekarstwa, ile jej ma wyćwiczona tancerka w przybieraniu zalotnej pozy. Jednak widać było, że cierpiała naprawdę; ręką dotykała piersi i gardła, w których czuła nieznośne duszenie.

– Czy świeże powietrze ulgi pani nie przynosi – ze współczuciem zapytał Różyc. – Może pani okno otworzyć rozkaże?

– O, nie, nie! – z żywym przeczeniem zawołała cierpiąca kobieta. – Ja się tak lękam wiatru, ciągów, słońca... Od wiatru dostaję zawrotu głowy, od ciągów newralgii, od słońca migreny... Tereniu, podaj mi, proszę cię, toaletowy ocet...

Kirło, cały nad nią schylony, z czułością szeptał:

– Cóż, czy lepiej trochę?... dusi ciągle?... może przechodzi?

Teresa podając ocet schyliła się też nad towarzyszką:

– Początek migreny? Prawda? Mój Boże! I mnie także zaczyna głowa boleć...

Pani Emilia nacierając skronie octem cichutko szepnęła:

– Moja Tereniu, ta Marta nie wraca dotąd z kościoła... jestem niespokojna o obiad... idź, dowiedz się, czy nakrywają do stołu. Czemu ta Marta nie wraca?... Nie wiem, czy gotują już dla mnie

rosół... czuję, że nic innego dziś jeść nie będę mogła... Ach, ta Marta nie wraca...

Z żywością i gracją podlotka Teresa biegła ku drzwiom, gdy szeroko otworzyły się one i do gabinetu wszedł mężczyzna wysoki, barczysty, siwiejący, z długim wąsem, ogorzałą twarzą, pomarszczonym czołem i wielkimi, ciemnymi oczami, w których na pierwsze wejrzenie nic więcej wyczytać nie można było nad troskę i prawie ponure zamyślenie. Na powitanie gospodarza domu, pana Benedykta Korczyńskiego, dwaj goście szybko powstali. Ręka, którą im on na powitanie podawał, wielka była, od opalenia zgrubiała. Zimno dotknął dłoni Kirły, a szerszym nieco, choć obojętnym także, uściskiem objął białą i gładką jak atlas, wypielegnowaną i wychudłą rękę Różyca. Teraz, gdy ten ostatni witając pana domu w świetle okna stanął, dokładnie obejrzeć było można powierzchowność jego arystokratyczną i jeszcze piękną, choć wyniszczoną i cierpiącą. Wysoki był i bardzo cienki, na małej i zgrabnej głowie fryzował włosy, dlatego zapewne, aby ukryć tworzącą się nad czołem łysinę; twarzą jego, o rysach prawidłowych i delikatnych, skórze białej i gładkiej jak welinowy papier<sup>38</sup>, wstrząsały co chwilę nerwowe drgania przebiegające czoło i brwi. Od pierwszego rzutu oka poznać w nim można było człowieka bardzo światowego, przez fizyczną może słabość łagodnego i z systemem nerwowym chorym. Gdy stanął obok

---

<sup>38</sup> *welinowy* (z fr. *vêlin*: skóra cieleca wyprawiona jak pergamin) – cienki, gładki papier wysokiej jakości. [przypis edytorski]

silnego, barczystego, ogorzałego pana domu, dwie ich postacie przedstawiły sprzeczność tak wielką, jak gdyby każdy z nich urodził się i żył na innej planecie. Jedną tylko cechę mieli wspólną: obaj wydawali się smutni. Korczyński wielką swą, ciemną ręką pociągając w dół długiego wąsa usiadł przy oknie i patrząc na żonę rzekł:

– Dzieci nie ma! Od godziny już by tu być powinny.

– O, ja także zaczynam być o to niespokojna i zapewne dlatego czuję już nadchodzącą migrenę – odpowiedziała pani Emilia i z cicha, z wolna uwiadomiła swoich gości o tym, że oczekuje przybycia na wakacyjne miesiące syna kształcącego się w szkole agronomicznej i córki będącej na jednej z pensji warszawskich. Mówiła, że Witold okazywał zawsze zamiłowanie w gospodarstwie wiejskim – znać odziedziczył to po ojcu – a Leonie wysłała na pensję dlatego, że przy swym słabym zdrowiu wychowaniem jej w domu pokierować nie mogła... Zresztą jest to jeszcze dziecko, ma rok piętnasty...

Kirło, który o tym wszystkim dawno już wiedział, usiłował zawiązać rozmowę z panem domu. Czynił to nawet z pewnym przymileniem, którym widocznie usiłował przełamać jakieś lody lekceważenia czy urazy. Zacierając kościste ręce i mile uśmiechając się rozpoczął:

– Pan dobrodziej nawet w święto około gospodarstwa pracuje...

– A tak – pociągając wciąż wąsa i posepnyimi swymi oczami na przeciwległą ścianę patrząc odpowiedział Korczyński – dla

nas święta nie ma. I owszem, kiedy oficjaliści i parobcy świętują, najbardziej pilnować trzeba, aby głodem nie zamorzyli koni i bydła albo dworu z dymem nie puścili...

Nie była to właściwie odpowiedź niegrzeczna, ale ton, jakim wymówiona została, czynił ją obojętną i trochę rubaszną.

– Ale co się tyczy tegorocznych urodzajów – rozpoczął znowu Kirło – obiecujące są, bardzo obiecujące...

– A tak – odparł Korczyński – nie wiem jak gdzie, bom od kilku miesięcy nie ruszył się z domu ani na krok, ale u mnie na polu wcale pięknie... Jeżeli zbiór i zwózka pójda pomyślnie...

– Tysiąccki będą, panie dobrodzieju, tysiąccki będą z tego ślicznego Korczyńka – zachęcony i do żartobliwego humoru swego powracając zawołał Kirło.

Korczyński podniósł głowę i z urągliwym wyrazem swych smutnych oczu na sąsiada cieszącego się przyszlými jego „tysiącckami” popatrzał.

– A ceny? – zapytał. – Czy żona pana dobrodzieja mówiła mu, jakie były i pewno jeszcze na ten rok będą ceny na zboże?

Kirło zmieszał się, ale wnet zatarł ręce i w śmiech uderzył:

– Jak Boga kocham – ze śmiechem zawołał – żona moja jest tak zawziętą gospodynią, że do niczego mnie nie dopuszcza... do niczego... Pod pantoflem siedzę po uszy... Ale mnie z tym dobrze i jej także... Bo i cóż, panie dobrodzieju, na tej nędznej folwarczynie mielibyśmy oboje do roboty? Albo ja, albo ona... A ponieważ ona chciała...

Korczyński uśmiechnął się i zwrócił twarz w stronę, w

której stała gotowalnia jego żony. Od tej gotowalni zaleciały go zmieszane zapachy toaletowego octu, ryżowego pudru i rezedowej perfumy. Pociągnął wąsa i zwracając się do żony rzekł:

– Może by okno otworzyć? Straszny tu zaduch!

– O, nie! – łagodnie odpowiedziała pani Emilia – wiesz o tym, że ja nie mogę siedzieć przy otwartych oknach...

– Głupstwo – mruknął Korczyński. – Musisz chorować w takim zaduchu siedząc.

Delikatna, cierpiąca kobieta spłonęła rumieńcem. Zawstydzila się rubasności męża, okazanej wobec mało jeszcze znanego gościa. Spuściła powieki, dotknęła dłonią piersi i gardła, umilkła.

I wszyscy przez chwilę milczeli. Czuć było, że w zaduchu tego pokoju wszystkim zrobiło się duszno. Pani domu coraz bezwładniej chyliła się na swym szeslongu; Kirło usłużnie posuwał ku niej wyszyte na kanwie poduszki; Korczyński długi wąs swój na gruby palec nawijał; binokle Różycy błyskały w cieniu ciekawie i jakoś drwiąco. W tej chwili kędyś z dołu słyszeć się dały pluski wody i przeciągłe, basowe wołania. Korczyński i Różycy jednocześnie spojrzeli w okno. Za oknem, za przezroczystą ścianą klonów, po błękitnym Niemnie płynęły tratwy, w mowie miejscowej płytami zwane. Jeden za drugim pod ciemną ścianą boru wieńczącego wysoki brzeg rzeki płynęły złote w słońcu, a stojący u sterów płytnicy<sup>39</sup>, w białej

---

<sup>39</sup> *płytnik* – flisak. [przypis edytorski]

odzieży, silni jak wodne olbrzymy, nadając rudlom<sup>40</sup> ciężkie półobroty, uderzali nimi po wodzie, która z wielkim pluskiem tryskała w perlistrych kaskadach. Zarazem ludzie ci rozmawiali z sobą długimi, basowymi krzykami, które obijały się o bór ciemny i wywoływały w nim głośnie echa. Po przeciwległym wybrzeżu, pod gęstym borem, chodzili ludzie różni, pojedynczo i gromadnie, w szarych i białych ubraniach; gdzieniegdzie, nisko nad rzeką, skrzydlatymi punktami przelatywały rybitwy; w jednym miejscu rybackie czółenka kręto prześlizgiwało się pomiędzy płytami; w klonach szczebiotały szczygły, gwizdała wilga, zanosila się od krzyku czeczotka. Świat cały stał w cudnej pogodzie jak czara nalana błękitem i złotem.

– Piękna miejscowość – rzekł w zamyśleniu Różyc.

Korczyński wskazał mu pracujących około rudli płytników.

– Ci ludzie nie mają także święta...

Różyc zdjął binokle i długą swą atlasową rękę powiódł po zmiętym i drgającym czole.

– Mnie się zdaje – rzekł – że oni zawsze mają święto. Są zdrowi, silni i jakimkolwiek jest ich życie, żyć chcą...

– Może pan ma słuszość – po krótkim namyśle odpowiedział Korczyński. – Praca nieszczęściem nie jest; idzie tylko o grunt, na którym człowiek pracuje, i o... skutki. Jeżeli co krok głową o mur uderzać się musisz i myśleć, że wszystko, cokolwiek byś zrobił... na diabła zda się...

Machnął ręką i umilkł. Różyc cierpiącymi swymi, ale

---

<sup>40</sup> *rudel* – ster. [przypis edytorski]

inteligentnymi oczami z zajęciem spoglądał na ogorzałe, zorane czoło i w dół spuszczone wąsy obywatela.

– Do czego pan ostatnie słowa swe stosujesz? – zapytał.

Spod wypukłych powiek duże, piwne oczy Korczyńskiego podniosły się na twarz gościa i utonęły w niej wejrzeniem głębokim i przejmującym.

– Jak pan myśli?... – zaczął i zawahał się z dalszym mówieniem. Ogarnęła go widoczna, a dziwna w tak silnym człowieku nieśmiałość.

– Jak pan myśli? – zaczął znowu – czy w terażniejszych czasach ci nawet z nas, którzy pieniędzy nie marnują i jak woły pracują, zdołają... to... tamto... tego...

Żrenice jego błyskały przelatującymi w nich iskrami; patrzył ciągle w twarz gościa i koniec wąsa do ust włożywszy przygryzać go zaczął. Widoczne było, że Różyc nie wiedział dobrze, co mu odpowiedzieć wypadało. Nad przedmiotem zaczepionym przez Korczyńskiego myślał zapewne niewiele; może też obchodził go on niewiele.

– Któż to może przewidzieć? – zaczął. – Czasy są ciężkie. Ja zresztą te strony znam tak mało... świeżym przybyszem jestem...

– Nie o te strony idzie – żywo podjął Korczyński – pod tym względem wszystkie strony u nas są sobie równe. Niechże mi więc pan powie przynajmniej, jak jest tam, gdzie pan mieszkał...

Różyc z niedbałym uśmiechem, choć z silnym drganiem czoła

i brwi, odpowiedział:

– Osobiście przedstawiam przykład zasmucający... Moje tamtejsze majątki są dla mnie stracone...

– Wiem o tym, ale to co innego! – zawołał Korczyński. – Pan z urodzenia byłeś wielkim panem... No, a to... tamto... Ale chciałbym coś wiedzieć o obywatelstwie średnim, takim na przykład jak ja, siedzącym na dziesięcinach<sup>41</sup> ziemi kilkuset, tysiącu... trochę więcej...

Światowemu i do wszystkiego przyzwyczajonemu człowiekowi odpowiedzi na pytania wszelkie zupełnie zabraknąć nie mogło. Począł więc opowiadać o finansowym i gospodarskim stanie średnich majątności ziemskich nad Słuczą położonych, a czy opowiadał dokładnie lub niedokładnie, prawdziwie czy nieprawdziwie, o to widocznie nie dbał. Nie zajmował się tym bardzo żywo, może uważał to sprawozdanie za próżną dla siebie fatygę. Ale mówił płynnie, do wykwintnej polszczyzny mieszając trochę francuskich wyrazów, od czasu do czasu, zręcznie i grzecznie, tłumił nerwowe poziewanie.

Z dala od okna, w przyciemnionym nieco rogu pokoju, prowadziła się inna, znacznie cichsza rozmowa. Kirło, ku gospodyni domu pochylony, mówił do niej o czymś półgłosem, z wyrazem ubolewania naprzód, a potem tak jowialnej żartobliwości, że na koralowe jej usta z wolna powracał uśmiech. Z wdzięcznym na sąsiada swego spojrzeniem wyrzekła:

– Pan zawsze pocieszyć i rozweselić mnie musisz... O, gdyby

---

<sup>41</sup> dziesięcina – tu: ros. miara powierzchni ziemi równa 1,09 ha. [przypis edytorski]

mi pana jeszcze zabrakło...

– Po co ma zabraknąć? – oburzył się Kirło. – Kiedy już tyle lat...

Ukośne wejrzenie rzucił na pana domu, bardzo w tej chwili zajętego rozmową z Różycem. Potem szare, błyszczące oczki jego wpiły się w delikatne policzki pani Emilii, a koścista ręka posuwała się z wolna ku jej ręce, która na kształt listka lilii spoczywała na zwojach jedwabiu.

– Biedna pani! – szepnął – już ja dziś muszę coś takiego zrobić, żeby panią rozweselić.

Za oknami na błękitnym Niemnie ciężkie rudle wciąż uderzały w wodę, wywołując pluski perlistych kaskad; lekki wiatr szumiał w klonach i mieszały się z nim fruwanie ptasich skrzydeł. Na przeciwległym wybrzeżu, w ciemnym borze, ludność wiejska zbierała pewno poziomki lub zioła, bo w głębi boru odzywały się nawoływania:

– Hu! ho! hej! hop! hop!

Jednocześnie z wnętrza domu, ale z dala, jakby znad sufitu, osłabione odległością słyszeć się dało granie na skrzypcach. Chwilami rozpoznać można było, że w górnej części domu ktoś z wielką precyzją i umiejętnością grał jakąś wielką i trudną kompozycję muzyczną.

Kirle te skomplikowane i pracowicie wywoływane tony skrzypiec jakby coś na pamięć przywiodły. Uśmiechnął się filuternie, dłonią po kolanie uderzył; wybiegł przez drzwi do salonu prowadzące, szczelnie je za sobą zamykając.

W jadalnej sali, dokoła długiego stołu ciężko, lecz żwawo krzątała się Marta Korczyńska, która przed kilku zaledwie minutami wróciła ze swej dalekiej przechadzki. Wielki słomiany jej kapelusz leżał na jednym z krzesel, a głowa, z cienkim warkoczykiem przymocowanym z tyłu wielkim grzebieniem, pilnie schylała się nad nakryciami, stwierdzając porządek ich i czystość. Przyrządzała sałaty i kompoty, przynosiła butelki z winem, co chwilę wybiegała, a powróciwszy, z brzękiem kluczy otwierała szuflady kredensowej szafy i urządzając, ustawiając, przyozdabiając wszystko, pantoflami wyszytymi w czerwone róże głośno klapała o podłogę. Dopomagał jej w tym gospodarskim zajęciu jeden tylko kredensowy chłopak, przyodziany porządnie i żwawy, ale niedorosły i ślepo tylko rozkazy jej spełniający. Cztery wiorsty<sup>42</sup> uszła dziś tam i na powrót, nie odpoczywała ani minuty, a nie znać było na niej strudzenia. Chrząkała, kaszłała, gderała i napędzała małego lokaja, a pomimo ciężkości chodu swego i pedantycznej dokładności, z jaką spełniała rzecz każdą, zwijała się tak prędko, że w niespełna kwadrans stół był już na dziesięć osób nakryty i wszystko do obiadu przygotowane. Chłopak chleb krajał, a Marta wkładała go do serwet, kiedy z dalszych pokojów wbiegła do jadalnej sali Teresa Plińska, w ręce klasnęła i z wybuchem radości zawołała:

– A! Pani już tu, panno Marto! I wszystko do obiadu przygotowane! Jakże to dobrze! Pani Emilia była bardzo

---

<sup>42</sup> wiorsta – daw. ros. miara długości, równa 1,067 km. [przypis edytorski]

niespokojna.

– I niepotrzebnie! – ofuknęła stara panna – niech swoich robótek i swojego słabego zdrowia patrzy, a co się tyczy domu, to już do mnie to należy.

– To nic – szeptała Teresa – ale ona zawsze o wszystko niespokojna. I teraz dostała globusu, i zaczęła już dostawać migreny...

– Naturalnie! A poziewania jeszcze nie dostała?...

– Jeszcze nie, chwała Bogu! – zupełnie serio i nawet z rzetelną dla Nieba wdzięcznością odparła towarzyszka pani Emilii.

– A Benedykt w domu?

– W domu, tam, z gośćmi i żoną... Znowu gniewał się, że pani i Justynka piechotą poszłyście do kościoła. Mówił, że w święto konie nie zajęte...

– To niech odpoczywają, a jak odpoczną, lepiej się potem do gospodarstwa zdadzą... Wieczna głupota! Czy to my księżniczki, żebyśmy pieszo chodzić nie mogły? Uf! Nie mogę!

Kaszel ją porwał, ale trwał krótko, bo wstrzymywała się z całej siły, i nagła myśl jakaś piorunem, zda się, uderzyła o całą jej istotę. Głośno splasnęła rękami i do okna poskoczyła.

– A dzieci jak nie ma, tak nie ma! – zawołała.

Teresa tymczasem liczyła na stole nakrycia.

– Na dziesięć osób, jak mamę kocham, na dziesięć osób nakryto! – piskliwie zawołała. – Czy więcej gości dziś przyjedzie? Bo nas domowych sześć, a dwóch panów – to osiem... a tu na dziesięć... czy kto jeszcze przyjedzie?

– Dwóch konkurentów do ciebie przyjedzie! – z gniewną ironią krzyknęła Marta. – Alboż mało naczekałaś się jeszcze na nich? No, to dziś trzech będziesz miała od razu. Pan Różyc już jest, a dwóch jeszcze przyjedzie...

Zaczęła śmiać się tak, że aż łzy nabiegły do szyderskich<sup>43</sup>, ognistych jej oczu. Teresa, zarumieniona trochę, dobrodusznie jej w twarz patrzyła:

– Co też pani wygaduje! Pan Różyc... gdzieżby on tam mógł... taki wielki pan... choć, doprawdy, tak jakoś patrzył... ej! oni wszyscy tacy... ci mężczyźni... Ale naprawdę, kto więcej przyjedzie?... moja droga pani, proszę mi powiedzieć, kto przyjedzie?

I szczupłymi ramionami swymi z dziecinną prawie pieśczołliwością objąć usiłowała grubą kibić i cienką, żółtą szyję towarzyszki. Ale ona gwałtownie wyrwała się z jej objęć.

– A dzieci! – krzyknęła. – Toż Widzio i Leonia powinni już od godziny być tutaj... Może choć na obiad nadjadą...

– A, prawda – z widocznym uczuciem rozczarowania szepnęła Teresa – zapomniałam...

– Zapomniała, zapomniała... – gniewnie ku szafie kredensowej idąc zamruczała Marta. – Może i matka zapomniała także... o dzieciach zapomniała... Co im w głowie? Romanse i apteka... Wieczna głupota!... A dzieci jak nie ma, tak nie ma! ... O Boże mój, Boże! gdyby tylko nie jaki wypadek... bo z tymi kolejami żelaznymi wszystko być może...

---

<sup>43</sup> *szyderski* – dziś popr.: *szyderczych*. [przypis edytorski]

Znowu stanęła twarzą ku oknu, głową wielkim grzebieniem sterczącą trzęsła i pęk kluczy głośno dzwonił w jej rękę.

W tejże chwili za przymkniętymi drzwiami sali jadalnej dało się słyszeć szybkie ze wschodów zbieganie, potem szamotanie się jakieś, mocowanie, dwa głosy męskie, z których jeden zdawał się o coś nalegać, a drugi od czegoś wypraszać... struna jakaś kilka razy brzęknęła, na koniec, dalej już, w głębi domu, wybuchnął głośny śmiech Kirły... Marta, zapatrzona w szlak drogi, zza rozwartej bramy dziedzińca widzialny, na szczególny hałas ten nie zwróciła żadnej uwagi, ale Teresa rzuciła się ku drzwiom i naprzód przez nie ciekawie głowę wychyliła, a potem, z cienkim i uszczęśliwionym chichotem, drobnym swym dziewczęcym krokiem przez sienie i salon pobiegła. W głębi salonu drzwi od pokoju pani Emilii otworzyły się głośno i zjawił się w nich Kirło śmiejący się i ciągnący za sobą kogoś bardzo pociesznie w samej rzeczy wyglądającego. Był to staruszek średniego wzrostu, ale tuszy dobrej i w środku figury szczególnie wydatnie zaokrąglonej, z okrągłą, białymi jak mleko włosami okrytą głową, z okrągłą także, pulchną, rumianą twarzą. Wśród tej twarzy pulchne, rumiane usta uśmiechały się teraz z pełną zmieszania dobroduszością i błękitne jak turkusy oczy patrzyły z wyrazem wstydu i załęknięcia. To zmieszanie i załęknięcie źródło swe mieć musiało w ubiorze bardzo niestarannym, bo składającym się tylko z szerokiego, z kwiecistej materii sporządzonego szlafroka. Jedną ręką trzymając smyczek i zarazem powstrzymując od rozchylania się poły szlafroka, drugą

ten białowłosy i łagodny starzec przyciskał do piersi skrzypce. Przy tym broniąc się przeważnej sile, która go naprzód pociągała, usiłował wciąż cofać się i ramię swe z dłoni Kirły wyrwać.

– Puść mnie pan... – szeptał i wykrzykiwał głośno – jakże można? przy damach... w szlafroku...

Ale Kirło wciągnął go do pokoju, przy czym do Różycy zwrócony perorować zaczął:

– Przedstawiam nowemu sąsiadowi naszemu najznakomitszego muzyka okolicy naszej... przepraszam! Litwy... a może i Europy... Zaniedbany ubiór jego przebaczą mu nawet damy, ponieważ jest artystą. Od urodzenia podobno aż do dnia dzisiejszego pracuje nad muzyką. Majątek, panie, przepracował... Ale gra za to... gra...

– Puść mnie pan... przy damach... przy nieznanym człowieku... – wypraszał się i w celu wyrwania się nowe, a coraz śmieszniejsze wysilenia czynił staruszek.

Nieznanym człowiekiem, czyli Różycy, ze zdumieniem na tę scenę patrzył i nie tylko nie śmiał się, lecz delikatne wargi jego przybrały wyraz niesmaku. Korczyński, oswojony znać z dobrym humorem Kirły i jego objawami, spoglądał przez okno na klony i rzekę; panie, Emilia i Teresa, śmiały się: pierwsza cichutko i z niejakim zawstydzeniem, druga głośniej i z rozkoszą. Kirło, zachęcony powodzeniem swym wobec dam, a na obecnych mężczyzn już nie zważając, z komicznymi gestami i minami dalej prawić zaczynał:

– Idę sobie na górę, aby naszego kochanego artystę

odwiedzić... słyszę: gra! Dobrze, myślę, niechże przyjdzie zagrać dla nas... Wymawia się, że nie ubrany... Co tam! Tym lepiej... artyści podobno, panie, zawsze nie ubrani i nie umyć...

Wtem zza pleców szamoczącego się i już widocznie udręczonego starca wysunęła się młoda kobieta w czarnej sukni, wybornie uwydatniającej jej silną i zgrabną kibić. Wyprostowana była i głowę otoczoną czarnym warkoczem wysoko podnosiła. Wśród śmiałej twarzy szare jej oczy wydawały się teraz prawie czarne i w twarz Kirły cisnęły płomienie gniewu. Na nikogo z obecnych nie spojrzawszy zwróciła się ku otwartym drzwiom salonu i zawołała głośno:

– Mars<sup>44</sup>! Mars!

Na to wołanie zjawił się w progu pies myśliwski, ulubieniec pana domu, wielki, czarny ponter<sup>45</sup>. Kobieta krótkim gestem wskazała go Kirle.

– Oto jest Mars – rzekła – wybornie umie on warować, aportować i przez kij skakać. Zawołałam go tu dla zabawy pana!

Głos jej trochę drżał, usta zbladły i z oczu znowu trysnęły płomienie. Powoli jednak i łagodnie ujęła ramię starca.

– Chodź, ojcze! – rzekła.

Kiedy wyprostowana, z podniesioną głową i bladym, lecz niezmaconym profilem prowadziła przez wielki salon siwowłosego, trochę przygarbionego i skrzypce swe do piersi

---

<sup>44</sup> Mars – w mit. rzym. bóg wojny. [przypis edytorski]

<sup>45</sup> *ponter* – wyżeł. [przypis edytorski]

przyciskającego starca, przypomnieć mogła Antygonę<sup>46</sup>...

– Wspaniała! – zza binokli swych ścigając ją spojrzeniem szepnął Różyc.

Kirło nie zmieszał się ani na chwilę i z nowym śmiechem szeptał do ucha Teresy coś, od czego rumieniła się i najmilszym uśmiechem rozjaśniała jej okrągła, rumiana, w owalną ramę chusteczki ujęta twarz. Korczyński motał wąż na palec i parę razy, do siebie więcej niż do innych, przemówił:

– Dzieci nie ma! Dziwna rzecz! Dzieci nie ma!

Różyc gospodynię domu nie mógł długo w osamotnieniu zostawiać. Toteż z wyrazem współczucia zapytał ją, czy na nerwy przeważnie choruje, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, z żywszą jeszcze sympatią mówić zaczął o ogólnym teraz usposobieniu do chorób nerwowych i trudności znalezienia na nie radykalnego lekarstwa.

– Co do mnie – rzekł – znam jedną tylko paliatywę<sup>47</sup>, która niechybnie o wczesną śmierć przyprawia, ale chwilowo przynajmniej zaspokaja potrzebę wrażeń i daje zapomnienie... o wszystkim...

Pani Emilia jak do modlitwy ręce złożyła.

– O, cóż to jest? – zawołała.

---

<sup>46</sup> Antygona – w mit. gr. córka króla Edypa. Kiedy Edyp po odkryciu swej winy tragicznej (nieświadomie zamordował ojca oraz poślubił matkę) wyłupił sobie oczy i udał się na samowolne wygnanie z Teb do Kolony, Antygona towarzyszyła mu i otoczyła nieszczęsnego opieką. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *paliatywa* (z łac. *pallium*: płaszcz) – środek przynoszący ulgę, nie leczący choroby, ale łagodzący jej objawy. [przypis edytorski]

– Morfina – z niedbałym uśmiechem szepnął gość.

Ze zniechęceniem ręką skinęła.

– Nie – rzekła z cicha – mnie się zdaje, że jedynym lekarstwem pewnym byłoby zadowolenie wyższych potrzeb istoty naszej, potrzeb serca... wyobraźni... szlachetnych gustów... Ale któż jest tak szczęśliwy, aby móc spełniać wszystkie marzenia swoje, aby dysonanse życia nie zatruwały mu ducha i ciała?...

– Bywają też ludzie, którzy spełniają wszystkie swoje marzenia i od zbytku tego szczęścia stają się... nieszczęśliwi... – z ledwie dostrzegalną ironią odparł gość.

Znowu drzwi od salonu otworzyły się z łoskotem i zjawiła się w nich na oka mgnienie wielka postać Marty.

– Dzieci jadą! Dzieci... jadą! – krzyknęła swym grubym, ochryplym głosem i wnet jak wicher rzuciła się w kierunku sieni.

W uszach obecnych zabrzmiał tylko głos jej jakąś ogromną radością nabrzmiały, a w oczach wionęły końce mantyli i zamigotały czerwone róże pantofli. Korczyński, jakby wybuchem jakiejś palnej materii z krzesła poderwany, dwoma krokami przesadził pokój i zniknął. Pani Emilia bardzo powoli podniosła się z szezlonga.

– Tereniu, droga moja... dajże mi płaszcz, rękawiczki, chustkę na głowę...

Teresa w kilku fertycznych<sup>48</sup> poskokach podała żądane przedmioty i do przywdziania ich dopomogła. Potem zaczęła

---

<sup>48</sup> *fertyczny* – zwinny, szybki, żwawy. [przypis edytorski]

sama owijać się ciepłym szalem, wsuwać na ręce trochę podarte rękawiczki, zawiązywać na głowie włóczkową chustkę.

Pani Emilia postąpiła parę kroków.

– Tak, doprawdy, osłabiona dziś jestem... – z cicha zaczęła – że nie wiem... czy zdołam wyjść na spotkanie moich dzieci...

Ręce jej wspierające się o stół drżały i słysząc było niemal przyśpieszone bicie jej serca. Nie udawała: była istotnie bardzo zdenerwowana i słaba. Kirło pośpieszył z podaniem jej ramienia. Wsparta na nim szła przez salon, jak wiotka trzcina chwiejąc się prawie i z szelestem ciągnąc za sobą zwój jedwabiu.

Wkrótce na ganku utworzyła się grupa osób, na której czele stał Korczyński, do niepoznania prawie zmieniony, bez śladu uprzedniej ponurości w błyszczących oczach, prawie bez zmarszczek na czole, z uśmiechem radości pod długim i w dół opuszczającym się wąsem. Na zapadłe policzki tuż za nim stojącej Marty wybiły się okrągłe, ogniste rumieńce; źrenice jej patrzące na drogę, wśród której widać było szybko ku bramie zbliżający się punkt czarny, przygasły i zwilgotniały; zwiędłymi, uśmiechającymi się ustami cichutko szeptała:

– Aniołki! Kotki! Robaczki moje!

Każdy by odgadł, że ci, których tu witać miano, rzuca się naprzód w objęcia tych dwojga ludzi. W głębi ganku, u samych drzwi wchodowych, Teresa z pomocą Kirły ustawiała przyniesiony z salonu fotel, na który wnet bezwładnie opuściła się pani Emilia. Do Teresy szepnęła:

– Trochę laurowych kropli, moja Tereniu..

A do Kirły:

– Wróć pan do pana Różyca. Niepodobna przecież, aby zostawał sam jeden...

Po kilku minutach przed ganek zajechała czterokonna bryczka, z której razem prawie wyskoczyło dwoje młodziutkich ludzi: wysmukły, złotowłosy chłopak i niedorośła, zgrabna panienka. Wybuchły pocałunki i zapytania; głosy zmieszały się. Słysząc było huczenie Marty, śmiech podlotka, szybką mowę młodzieńca, spazmatyczne łkanie pani Emilii, piskliwe wykrzyki Teresy przyzywającej pomocy służących dla odprowadzenia pani do pokoju.

Różyc i Kirło z roztargnieniem przypatrywali się tej scenie przez jedno z okien domu. Mało ich ona obchodziła. Nagle Różyc, twarz od okna odwracając, zapytał:

– Któż to jest ta panna Orzelska?

Kirło wybuchnął śmiechem.

– Oho! Wpadła panu w oczko, co? Nieszpetna, co prawda, ale dla mnie niesympatyczna... zimna... rubaszna... oryginalna...

Wzruszył ramionami i usta wyduł.

– Gusta są różne – flegmatycznie odparł młody pan i malutką piłką zaczął bardzo uważnie robić coś około swych pięknych paznokci.

– Biedna? Bez posagu? – zapytał po krótkiej chwili.

– Pięć tysięcy ma na procencie u pana Benedykta. Cóż to za posag... Wcale posagu żadnego nie ma... a dumna przy tym jak księżniczka i zła jak szerszeń.

– Zauważyłem to właśnie przed chwilą.

Ironiczny trochę uśmiech przebiegł mu po cienkich ustach.

– Z temperamentem dziewczyna... – dodał.

Kirło swymi błyszczącymi, świdrującymi oczkami uważnie mu w twarz popatrzał.

– Ej, nie zapalaj się pan tak prędko! – z wyraźnym niezadowoleniem zawołał. – Temperament! Temperament! Był, ale już wywietrzał.

Czarne, wąskie brwi młodego pana silniej niż zwykle drgnęły, a drgnienie to udzieliło się czołu i przebiegło skórę czaszki, aż pod przerzedzonymi i ufryzowanymi włosami. Zupełnie jednak obojętnym a nawet żartobliwym głosem zapytał:

– Cóż tam takiego było?

Kirło znowu filuternym stał się.

– Pamiętasz pan Zygmunta Korczyńskiego, tego malarza, którego spotkaliśmy u Darzeckich?

– Pamiętam, wcale przyzwoity człowiek i podobno nie bez talentu... Żona jego ładna, mała blondynka... Cóż więc?

– No... on i panna Justyna...

– Romans? – dorzucił pan.

– I jaki! – wybuchnął Kirło.

– Już z żonatym?

– Ale gdzie tam! Od dzieciństwa prawie... jak zwykle pomiędzy kuzynami...

– A dlaczegoż więc?...

– Dlaczego nie pobrali się? Ależ i mowy o tym być nie

mogło... Familia... i on sam...

Dłużej rozmawiać nie mogli, bo towarzystwo całe z ganku wchodziło już do sieni i zaraz wejść miało do salonu.

Tymczasem po wschodach, niegdyś politurowanych i ozdobnych, dziś tylko czystych i całych, Justyna wprowadziła ojca do górnej części domu, gdzie pośród obszernego strychu urządzone były wąskie korytarze z dwoma naprzeciw siebie otwierającymi się pokojami. Jeden z tych pokoi należał do Ignacego Orzelskiego i był zarazem sypialnią nocujących tu czasem gości. Justyna opuściła ramię ojca i wyjąwszy mu z rąk skrzypce, umieściła je w stojącym na stole podługowatym pudle. Czyniąc to, z cicha i trochę szorstko rzekła:

– Dlaczego, ojcze, pozwalasz zawsze temu panu żarty z siebie...

Urwała i uczyniła ręką gest zniechęcenia.

– Po co ja to mówię! Tyle już razy prosiłam... przedstawiałam... Nic nie pomaga... i nic nie pomoże!...

Wzięła dzbanek stojący w kącie pokoju i zaczęła zeń wodę do miednicy nalewać. Stary w rozwartym szlafroku i zupełnym pod nim negliżu stał na środku pokoju, zakłopotany trochę i z jednostajnym wciąż, dobrodusznym uśmiechem na ustach.

– Widzisz, moja Justysiu – zaczął – żebyś ty wiedziała, jak to trudno... zresztą... cóż to szkodzi!

– O! – zawołała – właśnie pragnęłabym, aby ojciec uczył...

Umilkła znowu, zawiesiła ręcznik obok miednicy i na jednym ze stołów ustawiła małe lustro. Stary tymczasem

drobnymi krokami zbliżył się do skrzypiec i już je z pudła wyjmować zaczął. Justyna delikatnie i powoli instrument znowu na przednim miejscu złożyła.

– Trzeba się ubierać, ojcze! Zaraz zawołają nas do stołu...

– A, do stołu! – powtórzył stary. – Dobrze... dobrze... bo już i głodny jestem... A nie wiesz tam czasem, co na obiad będzie?

– Nie wiem – odpowiedziała i ułożyła obok lusterka wszystkie przybory do golenia się i czesania służące.

– Wszystko gotowe, ojcze...

Stary nie ruszał się i z ukosa na skrzypce spoglądał.

– A może bym ja trochę jeszcze pograł?

– A obiad? – zapytała Justyna.

– A prawda... obiad? Pewno dziś co smacznego dadzą, bo goście są... Pytałem się nawet panny Marty z samego rana, co tam na obiad będzie, ale czy ona kiedy po ludzku do kogo przemówi! Burknęła... chrząknęła... czchnęła i na dół poleciała... a mnie już na dół nie chciało się schodzić... wypłem więc kawę z sucharkami, troszkę szynki zjadłem i grałem sobie... Szynki w tym roku doskonale urządziła... i sucharki jej zawsze doskonałe... w ustach topnieją... caca!

Powoli, leniwie usiadł przed lusterkiem i do robienia toalety swej przybierać się zaczął. Justyna prędko i zręcznie czyściła miotełką surdut ojca. Stary zachmurzył się.

– Otóż to – gderliwym tonem zaczął – jak tylko goście przyjadą albo co tam innego stanie się, Franek u mnie ani nosa nie pokaże... Jeden ten chłopiec do wszystkiego... i przy

kredensie, i do stołu usługuje, i mnie, i panu Benedyktowi... Do czego to podobne, aby w takim domu... nie było komu wody podać i surduta oczyścić?

– Już oczyszczony! – odpowiedziała Justyna.

– Oczyszczony... oczyszczony... – gderał stary. – A kóż go oczyścił? Ty sama! Czyż to pięknie, aby panienka surduty czyściła?... do czego to podobne?

Po ustach Justyny przemknął uśmiech. Stała na środku pokoju i zamyśliła się chwilę.

– Jak ja stąd wyjdę – rzekła – ojciec znowu grać zacznie...

– A może... – odparł stary – to i cóż?

– Teraz nie można – odrzekła – bo jak na obiad zawołają, trzeba, aby ojciec był już ubrany... Lepiej może pudło na klucz zamknąć...

– No, no! Nie zamykaj... nie zamykaj!...

Nic już nie odpowiadając zakręciła mały klucz w zamku, schowała go do kieszeni i wyszła.

Drugi pokój na górze, niezbyt mały i bardzo czysty, o dwu łózkach i umeblowaniu skromnym, lecz dostatecznym, stanowił od lat kilku wspólne mieszkanie Marty i Justyny. W tym pokoju Justyna stała przed otwartym oknem i rozplótszy warkocze, powolnym ruchem rozczesywać zaczęła gęstwinę czarnych włosów, w które podczas rannej przechadzki wplątały się zielone igły i młodziutkie gałązki sośniny.

Na Niemnie ruch ustał zupełnie. Tratwy przepłynęły, rybackie czółna znikły, samotność zaległa płynące błękity wody,

nad którymi czasem tylko w olśniewającej światłości słonecznej szybko i kręto przelatywały połyskliwe jak atlas rybitwy. Na cichą wodę wypłynęła łódź mała, od jednego brzegu do drugiego wioząca dwóch ludzi. Jeden z tych ludzi siedział na dnie łodzi i twarz nad wodą pochylał tak, jakby z zajęciem przypatrywał się podwodnej roślinności, która tu i ówdzie wybijała się na powierzchnię kępami okrągłych liści i żółtych kwiatów wodnych lili. Drugi, wysoki, w stojącej postawie rozgarniał wiosłem wodę zataczającą dokoła łodzi koliste bruzdy. Justyna spostrzegła, że ten przewoźnik, wstrzymawszy nieco ruch wiosła, z podniesioną twarzą patrzył chwilę na dom, u którego szczytu stała ona w otwartym oknie. Potem, gdy już łódź przybiła do brzegu, człowiek ów, wyskoczywszy na przeciwległe wybrzeże, stanął i znowu w tym samym kierunku spojrzął; ale wnet, na kształt górskiego jelenia, prędko i zręcznie wbiegać zaczął na wysoką, piaszczystą ścianę. Od chwili do chwili zatrzymywał się i podaniem ręki albo podłożeniem dłoni pod łokieć dopomagał towarzyszowi, który wstępował na górę znacznie powolniej, z trudnością, z przygarbionymi trochę plecami i pochylonym karkiem. Pierwszy z tych dwu ludzi ubrany był w kurtkę z siermięgowego sukna zielonymi taśmami przyozdobioną, drugi miał na sobie długą kapotę, a na głowie pomimo gorąca wielką baranią czapkę. Wkrótce obaj zniknęli za pierwszymi drzewami boru. Ale zaledwie zniknęli, z boru wybuchnęła i pod same zda się obłoki wzniosła się pieśń męskiego, silnego głosu:

Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,  
Jak różowy kwiat,  
Oczy zapłakała, ręce załamała:  
Zmienił się jej świat.  
Czego ty płaczesz, czego narzekasz,  
Dziewczyno moja?...

Głos śpiewającego oddalał się, oddalał się w głębokości boru i przycichał, natomiast z boru ozwały się powitalne czy wzywające wołania:

– Hu! ho! hej! hop! hop!

Ktoś basowym głosem przeciągle wołał:

– Jan—ku! Jan—ku! bywaj! a bywaj!

Jakaś kobieta cienkim i ostrym głosem u samego brzegu lasu na skoczną nutę zaśpiewała:

Kiedy cię śpiewam, luby walczyku,  
Myślę o moim miłym chłopczyku...

I urwała, a cisza wraz ze światłością słoneczną stanęły znowu niezmacone od samego nieba do ziemi.

### III

Benedykt Korczyński należał do niewielkiej w jego pokoleniu liczby ludzi, którzy odbyli wyższe naukowe studia. Zawdzięczał to czasom, w których upłynęła młodość jego ojca, tym czasem, które światła swe i wzloty otrzymywały od wielkiego i szeroko promieniejącego ogniska. Ogniskiem tym, w samym sercu prowincji roznieconym, była akademia wileńska, a Stanisław Korczyński, syn napoleońskiego legionisty był przez czas jakiś jej wychowawcą. To zapewne, a może także rodowe skłonności, które nie zawsze, ale często jak krynica w łono ziemi w grunt wielu pokoleń wnikają, uchroniły go od zarazków unoszących się zwykle nad stojącymi wodami. Na gruncie pańszczyźnianym wytwarzającym gotowe dostatki, pod skalistym sklepieniem rozpęd wzroków i ruchy ramion tamującym, społeczeństwo było wodą stojącą, pełną zarazków ogłupienia, zezmysłowienia się, lenistwa i apatii. Organizmy ludzkie – biedne te gąbki, które stosownie do drzewa, na którym rosną, wsiąkają w siebie rozkładające lub krzepiące soki – przeciw zarazkom broniły się, jak mogły. Mnóstwo uległo; pewna jednak liczba uzbrojona do walki w odziedziczone lub zdobyte siły oparła się zwycięsko. Do ostatnich należał ojciec Benedykta. Pośród stref, na których jak złotogłowy, pospolite tkaniny lub ścierki zawieszają się ludzkie życia, to życie nie wzbiło się bardzo wysoko, ale też i na niziny

nie spadło. Może ono i miało skrzydła, które w atmosferze gnijącej do niczego służyć nie mogąc, przekształciły się w proste szczudła, użyteczne tylko do chodzenia po bagniskach bez obłocenia się i ugrzęźnięcia. Ale istnienie takich szczudeł w pewnych warunkach gruntu i atmosfery świadczy najpewniej o posiadanych niegdyś zaczątkach skrzydeł. Dość, że trzej synowie Korczyńskiego dzieciństwo swe spędzili w atmosferze wolnej od zgniłych oddechów rozpusty i tyranii, oświetlonej nie słońcem wprawdzie, ale przynajmniej gwiazdą cnoty, ożywionej nie czynami, ale przynajmniej utajoną do nich zdolnością ojca. Wielkie wrażenie w całej okolicy i nawet w całym powiecie wywołał postępek Korczyńskiego, gdy synów swych wysłał on po skończeniu przez nich szkół średnich do wyższych naukowych zakładów. Po co? Dlaczego? Nie mieliż odziedziczyć po nim znacznego obszaru pięknej i żyznej ziemi, na którym żyć i panować będą sobie mogli, jak panowali i żyli przodkowie? Nie byliż szlachcicami, obywatelskimi synami? Nie mieliż zatem z prawa urodzenia, przysługującego im stanu, położenia w świecie – punktu wyjścia dla spokojnego życia? Nie wszyscy postępkowi Korczyńskiego nadawali nazwę dziwactwa: byli i tacy, którzy czynili to samo; ale poważna większość wzruszała ramionami. Gdyby wtedy w cieniu bliskiej przyszłości zajrzał był wróżbiarz jaki, na całe gardło, na cały świat zaśmiałyby się z tych dumnych, ufnych, takich pewnych! Korczyński wróżbiarzem nie był i wszystkiego, co w bliskiej przyszłości stać się miało, nie przewidywał; tak dalece nie przewidywał, że gdyby ktokolwiek

rozwinął był przed nim obraz przeznaczeń jego synów, albo by uniół się zgrozą i rozpaczą, albo by śmiał się na całe gardło krzyżąc: „To niepodobna!” Jednak dzięki temu promieniowi światła, który kiedyś do jego głowy z wielkiego ogniska wniknął, część przyszłości przewidywał on i rozumiał; rozumiał, że prędzej lub później, może wcale prędko, praca niewolnicza stanie się pracą wolną i równiejszymi działaniami rozpadnie się pomiędzy ludzi. Wtedy życie jego synów wraz z życiem całego ogółu, przelane w formę nową, zapotrzebuje nowych narzędzi. Może też pragnął, aby synowie jego zażyli tych samych rozkoszy nauki, koleżeństwa, zaostrozania wzroku przez szerokość dostrzeganych widnokręgów, których on sam w młodości swej zażywał. Może jeszcze cień nadchodzącej przyszłości dotykał czasem jego głowy, bo na przedstawienia i żarty sąsiadów z namarszczonym czołem odpowiadał:

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.